

# AS

Nr. 36.
3 LISTOPADA 1935
CENA 40 GROSZY

✦

**W cichej oazie płonącej Afryki...**

# NASZ WIELKI KONKURS

## NA

# NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.



*Miss Lato — Wilno.*



*P. Z. K. — Rydułtowy, Górny Śląsk.*



*„Osia" — Jasło.*



*„Błyskawica" — Turek.*

**Już w poprzednim numerze staraliśmy się z naszego konkursu wyciągnąć pewne filozoficzne wnioski. Obecnie chcemy pójść o krok dalej na obranej „poważnej" drodze i przypomnimy naszym Czytelnikom, że słynny niemiecki filozof Schopenhauer uśmiech nazwał jedynem dobrem, które się samo procentuje. Powiedzenie to jest wysoce znamienne. Odbiegliśmy nieco od wesołego tonu, aby z uśmiechów wydobyć głębszą myśl. Nie przeszkodzi to naszym Czytelnikom skorzystać z kuponu na stronie 26 i głosować za uśmiechem, który przypadł im najwięcej do gustu.**



*„Uśmiech z Francji" — Roubaix.*

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

# AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

**Numer 36** **Niedziela 3 listopada 1935** **Rok I**

## ASY NUMERU 36-GO:





Fot. „As".

**Kraków szczycący się nie bez słusznej racji mianem najbardziej zabytkowego polskiego miasta, posiada w swoich murach tak bezcenny pod względem architektonicznym i historycznym zabytek, jakim jest Barbakan, zwany potocznie Rondlem. Nigdzie bardziej, jak w Krakowie oko ludzkie nie spotyka też tyle pięknych kontrastów, powstających z sąsiedztwa szarych, miejscami bronzową cegłą przeświecających murów z nowoczesnemi budowlami. Kraków, stojąc na straży swoich cennych zabytków, razporaz poddaje remontowi stare mury — a ostatnio kolej przyszła na przepiękny Barbakan, którego wieżyczki kryte blachą wymagały odpowiedniej reparacji.**

# WOJNA ★ TEMATEM ★ MALARSTWA

*Poniżej: Franciszek v. Stuck — „Wojna".*



O definicję sztuki pokusiło się wielu teoretyków, każda z nich jednak tylko mniejwięcej wyraża właściwą istotę walorów ducha ludzkiego. Wszelka definicja ma tę słabą stronę, że w ramy pozytywne i ścisłe stara się ująć rzecz tak nieuchwytną i tak lotną, jaką jest fantazja i natchnienie. Najbliższą może prawdy definicją byłoby powiedzenie, że sztuka jest indywidualnem i oryginalnem przetworzeniem zjawisk życiowych, zwykłych, a jednak zawsze ciekawych dzięki odmiennemu punktowi widzenia. Jeżeli dawni malarze — Rubens, Van Dyck, Tycjan, lubowali się w przedstawianiu scen pełnych wspaniałości, w malowaniu bogatych materyj i klejnotów, o tyle późniejsi, Cézanne, Renoir i tylu innych, lubowało się w zwykłych codziennych epizodach życiowych, którym genjalny pendzel artystów nadawał nieoczekiwaną głębię.

Życie w swych licznych przejawach, śmierć w swej całej grozie i ohydzie, miłość w tęczowych kolorach nadziei, nienawiść, ale też wszystkie inne wielkie uczucia, wszystkie instynkty szarpiące sercem ludzkiem — to ulubione tematy dla artysty. A przedewszystkiem — wojna! Widząc płonące miasta, pola zasiane trupami, twarze wynędzniałe głodem, artysta starał się odkryć głębszy cel tych zjawisk, starał się dociec do ich logiki lub też wyrażał swój osobisty stosunek wobec nich.

W malarstwie i rzeźbie światowej wojna reprezentowana jest nadwyraz ciekawemi i wartościowemi dziełami. Zacząwszy od rzeźby rzymskiej, posiadającej takie dzieła, jak znaną rzeźbę umierającego gladjatora, poprzez średniowiecze, które również wydało liczne obrazy i rzeźby, związane ściśle z wojną aż po dzień dzisiejszy, wojna zaprząta wyobraźnię poety, malarza i rzeźbiarza. Oczywiście, że każda epoka wycisnęła na tych dziełach swoje charakterystyczne piętno. Patrząc się na rzymską rzeźbę, przedstawiającą człowieka, który ginie na wojnie, nie odczuwamy tego tragizmu, jaki się w nas rodzi na widok współczesnego obrazu z pola bitwy. Śmierć Rzymianina jest jakaś spokojna, powiedziałbym pewna siebie, jakaś „optymistyczna". Przyczynia się do tego bezwątpienia okoliczność, że Rzymianie, jak i wogóle inne narody starożytności uważały śmierć, zwłaszcza na polu walki, za mniejsze zło, niż ludzie dzisiejsi. Byli przecież przekonani, że dusze ich przyjęte będą przez dobroczynnego Charonax, który przewiezie je do Pól Elizejskich, a tam czekać będzie zasłużona nagroda. Ta wiara w nagrodą za bohaterską śmierć żyje — mutatis mutandis — we wszystkich religjach starożytności, nadając ostatnim chwilom żołnierza pewien blask poezji i estetyczności. Inne oczywiście p budki rządziły artystą średniowiecznym, który również śmierci, zwłaszcza w obronie Krzyża i Ojczyzny nie uważał za koniec doczesnej egzystencji. Gdy patrzymy się na malowidła pre-rafaelitów, obrazujące oblężenia miast, bitwy i potyczki, odnosimy wrażenie, jakby chodziło tu o jakieś przedstawienie teatralne, a nie o realne życie. Wśród chmary nacierających na siebie rycerzy widzimy dwóch lub trzech rannych leżących w efektownej, jakby naumyślnie wybranej pozie, a rany ich są lekkie i zaledwo kilka kropel krwi znaczy się na ich czole lub piersiach.

Tak długo jak człowiek umiera za ideał i uważa, że śmiercią swą dokazał godnego pochwały czynu, ofiara jego „procentuje się" niejako sama przez się. Z chwilą jednak, gdy walczy się bez przekonania, zmuszony, śmierć nabiera cech odrażających, staje się ostateczną klęską, przypomina ciężkie żelazne wrota grobowca, które raz na zawsze odcinają światło od mrocznych katakumb. I wtedy wojna w całej swej ohydzie występuje jaskrawo jako dopust Boży i klęska żywiołowa.

Właściwie dopiero od XVII wieku malarstwo europejskie zajęło wobec wojny stanowisko, utrzymujące się po dziś dzień. Wyraża ono bezwzględne potępienie wojny, wykazuje jej ohydę i zdziera wszystkie maski, w jakie zaopatrzyła ją ludzka fantazja. Im bardzie ludzkość zaczęła się indywidualizować w swoich uczuciach i im więcej człowiek zaczął się uważać za cel sam w sobie, tem silniejszej krytyce poddawał wojnę. Nie mówimy tu tylko o samej sztuce — malarstwie lub rzeźbie — ale również o literaturze, która też występować zaczęła jako publiczny oskarżyciel wojny. Straszności 30-letniej wojny wywołały zrozumiały efekt w społeczeństwie, którego skutkiem było na owe czasy nadwyraz znamienne oskarżenie, napisane pod pseudonimem Simpliziusa Simplizissimusa. Równoważnikiem graficznym tego pamfletu były genjalnie pomyślane rysunki Callota, który — dziwny amalgamat humoru i ponurości — rysował również postacie z włoskiej Comedia dell'arte. Jego „drzewo powieszonych" i wiele innych rysunków odzwierciedla grozę ówczesnej wojny, która by-



*Goya — „Rozstrzelanie".*

ła właściwie zorganizowaną rzezią. A cóż dopiero powiedzieć o pełnych tragizmu obrazach Goyi! Jest to malarz, który z dziwną pasją robił sekcję duszy ludzkiej, ujawniał najbardziej ukryte jej cechy, pod szkłem powiększającem rozpatrywał to wszystko, co składa się na uczynienie z wojny nie wspaniałego epizodu bohaterskiego, jakim go widziały poprzednie wieki, lecz wybuchem zbiorowym ludzkich namiętności. Nikt bodaj dotychczas nie zdołał tak wstrząsająco opowiedzieć swym ołówkiem okropności wojny, jak Goya w swoich „Los desastres de la Guerra". Jedynym odpowiednikiem tych psychologicznie wnikliwych rysunków są chyba — oczywiście na zupełnie innej płaszczyźnie — rysunki Toulouse-Lautrec'a, jak również Ropsa.



Na lewo: Scena z wojny z cyklu „Los desastros de la guerra", Goyi. — Powyżej: „Sierotka" Bogdana Nowoka jest jednym z jego symbolicznych obrazów, wystawionych w Genewie podczas konferencji rozbrojeniowej 1932.



Oczywiście, że w sztuce walczą odnośnie koncepcji wojny dwa odrębne kierunki, uzasadnione psychologicznie. Z jednej strony żywiołowe potępienie wojny, z drugiej jej apoteoza jako czynnika nietylko politycznego. ale też moralnego. Są więc artyści, którzy uwypuklają przedewszystkiem bohaterstwo walczących, zapominając o klęskach, jakie idą w ślad za wojną. Takim jest w malarstwie zagranicznem Franciszek Stuck, takim też Lovis Corinth i in.

Większość artystów upatruje w wojnie tylko cechy ujemne.

Dwa nazwiska przedewszystkiem nasuwają się tu nieomal automatycznie: Artur Grottger i Wiertz. Wielki artysta belgijski, posiadający swe muzeum w Brukseli, był obłąkańcem. Umysł jego dręczony był ciągle makabrycznemi wizjami obłędu i śmierci: patrząc się na piękną kobietę przed lustrem, narzucała mu się wizja jej trupa, a twarze kobiet-warjatek patrzyły na niego z każdego kąta. Tylko z tak niespokojnego i udręczonego własną fantazją umysłu, mógł się zrodziś genjalny obraz „Napoleona w piekle", ukazujący nam odwrotną stronę zwycięstw boga wojny. Innemi drogami szedł Grottger, piewca klęsk narodowych 1863 r. Niema on tej żywiołowości jaką znajdujemy u malarzy obcych, lecz odznacza się on większą harmonją i głębią, jak tamci. Cykl Grottgera „Wojna", „Lituania" itd. zdoła wzruszyć każdego człowieka, przedewszystkiem jednak trafia do serca Polaka. Psychologja Grottgera jest nawskróś polska, to też główną nutą dominującą w jego rysunkach jest boleść spowodu niepotrzebnych ofiar powstania. Jest ona więc ściśle związana z dziejami walk narodowych, nie jest natomiast apriorystycznem potępieniem wojny wogóle.



Artystyczna wizja Traktatu Wersalskiego w ujęciu Bogdana Nowaka.









Od lewej ku prawej: „Karnawał r. 1871" — karykatura paryska Faustin'a. — „Najlepsi jeneralowie rosyjscy — jenerał Styczeń i jenerał Luty" — karykatura wojenna Johna Leecha'a, która ukazała się w londyńskim „Punch", z okazji wojny krymskiej.

Najbardziej bodaj do głębi przejmującemi dziełami artystów są obrazy ujmujące tak poważny temat w sposób karykaturystyczny. To paradoksalne zestawienie wywołuje nieraz dreszcz przerażenia. Już u Goyi znajdujemy te rysy. rozwijają się one jednak jeszcze znacznie silniej u malarzy XIX i XX wieku. Wystarczy wspomnieć o rysunkach Faustina, Johna, Leech, Ramberta, Gullbranssona i innych, aby zdać sobie sprawę z tego zestwienia.

Wojna europejska była pod względem sztuk pięknych nadwyraz ważnem zdarzeniem. O ile literatura stosunkowo niewiele miała do powiedzenia ciekawego o niej, o tyle malarstwo zostało przez nią wstrząśnięte do głębi. Przeważnie są to ponure, a nieraz makabryczne karykatury wyrażające sceptycyzm współczesnych ludzi, ich brak zrozumienia dla „bohaterskości" wojny, jakoteż jej korzystnych skutków społecznych.

Nie można pominąć również i tych pseudo-artystycznych rysunków i obrazów, które podczas każdej wojny automatycznie nieomal zjawiają się w handlu w postaci różnych pocztówek, luźnych druków, książek itd. Pamiętamy z czasów wielkiej wojny niezliczone tego rodzaju „dzieła", będące z jednej strony apoteozą własnego kraju, z drugiej zaś żrącą i wstrętną satyrą na przeciwnika. Dziwić się należy, że w naszych czasach, szczycących się kulturą duchową liczne te, pod względem artystycznym bezwartościowe, propagandowe obrazy i obrazki mogą znaleźć tylu amatorów. Lecz przecież wojna deprawuje nietylko przeciętnego człowieka, ale również talent artysty pozbawia cech szlachetniejszych.

Dzisiaj, gdy znowu przed bramami Europy zatrzymał się Mars, pobrzękując mieczem, cały zakuty w stal i lada chwila może podłożyć dynamit pod całą budowlę cywilizacji europejskiej, temat wojny, znów w zmienionej formie, w licznych odmianach staje się aktualny. Aktualność jego zresztą jest równa aktualności wszystkich zjawisk życiowych, które są wieczne.

**Jan Maleszewski.**

Na lewo: Symboliczny obraz wojny w karykaturze Ramberta, skomponowany podczas kampanji francusko-pruskiej.

Poniżej: Genjusz Grottgera oddał całą grozę wojny z niezwykłą wyrazistością.



## JAK DŁUGO ŻYJE DŻDŻOWNICA?

Niedawno temu japoński badacz Nagano, dokonał szeregu doświadczeń w celu ustalenia przeciętnego wieku dżdżownic. Z doświadczeń Nagano wynika, że dżdżownice japońskie Eisenia i Pheretima żyją w wodzie bieżącej, a więc w takiej, która obfituje w tlen — od 40 do 94 dni.

Nagano dokonał także doświadczeń z dżdżownicami umieszczonemi w wodzie stojącej. W dwóch litrach wody stojącej — 10 osobników żyło tylko od 18 godz. do 6 dni. Zjawisko to tłumaczy się zatruciem robaków ich własnemi wydzielinami. Również dwutlenek węgla okazuje się dla nich zabójczy.

## UBARWIENIE OCHRONNE — NIE CHRONI.

Za klasyczny przykład celowości natury, uważano przez dłuższy czas ubarwienie ochronne zwierząt. Zdawało się być jasnem, że dzięki podobieństwu zwierzęcia do jego otoczenia, mogło się ono łatwiej ukryć przed okiem wrogów, bądź też łatwiej upolować zdobycz.

Ostatnie badania wykazały, że po uwzględnieniu właściwości narządów zmysłowych zwierząt, w większości przypadków ubarwienie ochronne nie oddziałuje wcale na zmysły ich rzeczywistych wrogów i tem samem ubarwienie to pozostaje bezużyteczne. Przekonano się również, że zwierzętom, których wygląd przypominał jakiś przedmiot ich otoczenia, zwykle brak było instynktu nakazującego przebywanie w pobliżu tego przedmiotu. A więc i w tym wypadku celowość ubarwienia ochronnego stawała się fikcją.



*Ochronna, zielona barwa i kształt liścia — chroni owada „Liścienia" przed napaścią wrogów.*

Pomimo, że doświadczenia praktyczne okazały się naogół niekorzystne dla teorji o ubarwieniu ochronnem — to jednak w pewnych wypadkach ubarwienie to może być dla zwierzęcia pożyteczne. Taki właśnie przypadek podaje badacz Summer.

Sumner umieszczał większą ilość rybek „Gambusia patruelis" w dwóch dużych akwarjach. Jedno akwarjum było oblepione papierem białym, drugie czarnym. Po ośmiu tygodniach rybki zamieszkujące białe akwarjum nabrały na grzbiecie i po bokach jasnych odcieni. Ryby w ciemnem akwarjum silnie pociemniały.

Następnie wzięto znowu dwa wielkie akwarja i otoczono jedno papierem białym, drugie czarnym. Do każdego z nich wpuszczono jednakową ilość rybek jasnych i ciemnych. Wreszcie umieszczono w akwarjum dwa pingwiny, które poczęły wyławiać rybki. Gdy około połowy rybek padło ofiarą żarłoczności pingwinów, policzono pozostałe. Okazało się, że w akwarjum jasnem pingwiny schwytały 61% rybek ciemnych i 39% jasnych, w jasnem zaś 73% ciemnych i 27% jasnych.

Podczas 8-miu podobnych doświadczeń stosunek był podobny. A więc przystosowanie barwne rybek do tła okazało się dla nich bardzo korzystne.

## LAS SPRZED 250 MILJONÓW LAT.



Muzeum historji naturalnej w Chicago — zrekonstruowało przy pomocy wielkich kapitałów las z epoki węglowej. Rekonstrukcja wykonana została w naturalnej wielkości i przedstawia drzewa, rośliny i zwierzęta, które przed 250 miljonami lat żyły na ziemi i z których powstał dzisiejszy węgiel. Prace nad tym olbrzymim modelem zostały podjęte przez dra B. E. Dahlgron'a.

## LOTNICZE POŁOWY ATMOSFERYCZNEGO PLANKTONU.

Dzięki rozpowszechnianiu się lotnictwa — wiele nowych doświadczeń zostało udostępnionych dla uczonych. — Niedawno dokonano badań, które miały na celu ustalenie, na jakiej wysokości nad ziemią istnieje jeszcze życie. Badaczom amerykańskim udało się stwierdzić, że granicą wysokości (pułapem) dla ptaków i owadów jest 5.000 m. Na wysokościach mniejszych przedsięwziął badania uczony Berland, wznosząc się na samolocie na wysokość 1500—2000 m.

Berland, lecąc z szybkością 120 km. na godz., zbierał faunę powietrza do siatki jedwabnej o kształcie stożkowym. Siatka przymocowana była do skrzydła samolotu. Wyniki tego połowu były dość niespodziewane. Znaleziono bowiem w sieci wiele owadów, często niezdolnych wcale do lotu. Poza tem obserwacje wykazały obecność różnych roślin. Rezultaty tych badań wskazują, że zachodzi tu bierne unoszenie się owadów i części roślinnych przy wstępujących prądach powietrznych, które mogłyby je unieść nawet do 5.000 m., więc na wysokość dostępną dla ptaków.

## ZARAZEK ŚPIĄCZKI ODKRYTY.



Po długoletnich badaniach niemiecki lekarz, prof. dr Grauert w Jokohamie, odkrył zarazki śpiączki, grasującej w Japonji. Choroba ta codziennie zabiera wiele śmiertelnych ofiar, a uczeni od dłuższego czasu nie mogli odkryć mikrobów, które ją powodowały.

## STATEK-FABRYKA.



Do portu nowojorskiego zawinął największy statek wielorybniczy „Sir James Clark Ross". Statek ten przywiózł 18 tysięcy ton tranu, przerobionego na statku.

Konstrukcja statku umożliwia łatwe wciąganie na pokład zdobyczy.



*Na lewo: Do ciekawych drobiazgów, oddających w życiu codziennem duże usługi, należy aparat do golenia, który zaopatrzony jest w lampkę, umożliwiającą golenie się nawet w ciemności.*

Lecz wiele wynalazków zawdzięczamy właśnie faktowi posiadania przez poszczególnych ludzi zbyt wiele czasu... Mają więc dosyć tej materji, skądinąd cennej („Czas to pieniądz") i przetwarzają jak się da, pragnąc spieniężyć powstałe „nowotwory" możliwie najdrożej. Często kończy się jednak na tem, że stają się figurantami gratisowemi owego barwnego filmu, jakim staje się doroczny „Konkurs Lepine".

Ciekawe, że dziś nikt prawie nie przyznaje się do dokonania wynalazku przypadkowo. Każdy pragnie uchodzić za genjusza, uczonego, wynalazcę „prawdziwego". Snobizm sławy! Minęły czasy Papinów, wynalazców przypadkowych kotła, maszyny parowej, lunety, szkła!

Nie dziwmy się więc świetnemu wynalazkowi składanej ramy do suszenia i zarazem prasowania firanek. Cichy odkurzacz elektryczny wynaleziony został napewno przez pana, którego małżonka od rana do nocy manewrowała tą pożyteczną skądinąd ale terkoczącą maszyną, nieczuła na pracę pana domu...

# CZY PAN TO ZNA?

Wynalazki! Co rok nowa wystawa, co rok tysiące drobnych i większych nowości, często poronionych. Lubię niemniej odwiedzać tę wystawę paryską, zwaną „Concours Lepine". Spotyka się tu ludzi pełnych zapału, entuzjazmu niegasnącego, niekiedy ludzi wierzących głęboko w to, czego dokonali i to czego jeszcze dokonają, niekiedy opętanych przez ideę jakiegoś perpetuum mobile, czy czegoś zupełnie zbędnego. Przechadzka pośród ich stoisk staje się wycieczką w jakąś krainę pełną fantazji i pomysłów, graniczących ze światem ułudy. Staram się odtworzyć mechanizm myślenia tych ludzi. Skąd przychodzi im na myśl stworzenie tych korków automatycznych, odcinających ostro strugę płynu, co zapobiega plamieniu obrusów? Lub ta musztardniczka, której zawartość wycisnąć można po odrobinie z otworu, znajdującego się w ściance spodniej? Lub ten aparacik oczyszczający szybko wodę?

Wtem przystaję zdumiony. Widzę stoisko, na którym niema nic. Czyżby to był wynalazek, jakiejś niewidocznej substancji?... Patrzę więc „nawskróś", lecz spostrzegam tylko pana z piękną siwą brodą. Powstaje na mój widok i pyta:

— Ile razy dziennie pan idzie do...

Milczę, poszukując jeszcze substancji „niewidzjalnej"... a pan z siwą brodą kontynuuje:

— Bo trzeba dwa razy dziennie. Całe me życie poświęciłem badaniom tego problemu, niezwykle ważnego dla trawienia, dla humoru, a więc dla równowagi społecznej. I służę dziś ludzkości mem doświadczeniem...

Nie skorzystałem z wynalazku... Poszedłem dalej. Zacząłem się orjentować w psychologji wynalazczości. Ludzie wynajdują albo przez przypadek albo szukając rozwiązania dla własnych, prywatnych bolączek. Wymagania życia współczesnego, brak miejsca, czasu i pieniędzy, zdenerwowanie i chęć wygody — oto bodźce.

Brak czasu — to czynnik poważny.




*Oto maszynka do gotowania kawy, która daje produkt mogący śmiało iść w zawody z najlepszą kawą turecką.*



*Osoby często posługujące się telefonem zainteresuje niewątpliwie wynalazek francuski, polegający na automatycznie zwijającej się kartce z numerami telefonicznemi, którą można przymocować na aparacie.*



*Jednym z najefektowniejszych wynalazków, pokazywanych na wystawie „Concours Lepine" jest bezwątpienia latający rower.*

Udoskonalone pralki automatyczne, zamiataczki-froterki, wosk-lakier, trzymający 8 miesięcy, łóżka zamieniane na dzień na szafy, ulepszone młynki do kawy, różne maszyny i aparaciki do jarzyn, do zmywania itp. powstały jako konieczność życiowa. Podobnież pudło na węglle i na śmieci, noże nieczerniejące, talerze, na których można smarzyć befsztyk, patelnie nieprzypalające się.

Ale jest też rozpylacz udoskonalony, mogący służyć do wszystkich płynów. Jest to aparat do masażu elektrycznego, wygodny i tani, dający podobno świetne wyniki w chorobach włosów i skóry, odcisków i zmęczenia przy chorobach wątroby i wrzodach, cukrzycy i reumatyżmie, bezsenności i niestrawności...

„Gwóździem" wystawy jest rower latający! Tego brakowało czywiście! Zastępuje auto, samolot, motocykl, nogi!

A przy wyjściu oczekuje cię tłum innych wynalazców: sprzedawców realnych, prawdziwych bananów, gazet, nożyków do golenia itp. objektów, niezbędnych dla człowieka „cywilizowanego".

**Zygmunt Frenkiel (Paryż).**



*Minjaturową lampkę dającą się przymocować do czytanej książki przywitają wszyscy amatorzy lektury wieczornej z wielkiem zadowoleniem.*

# Z retorty i kwietnego pola.

Mówiąc o perfumach nie szkodzi zastanowić się na chwilę nad etymologją tego słowa. Jest to wyraz bardzo stary, mający conajmniej 2000 lat istnienia, wyraz łaciński. Pochodzi on od wyrażenia „per fumum", t. zn. dosłownie „przez dym". Ot i już odrazu doszliśmy do najstarszego sposobu wydobywania przyjemnych woni, mianowicie przez wytwarzanie wonnego dymu, to co jeszcze dzisiaj się praktykuje na Trzech Króli. Spalanie w ogniu pachnących roślin lub roślinnych produktów to najstarsze perfumy. U starożytnych Greków taki wonny dym wytwarzano przy pomocy zasuszonej lawendy. Bardziej wyrafinowani byli starożytni Chińczycy, którzy do swych kadzideł używali i odpowiednio przerabiali rozmaite żywice. Chińscy perfumiarze z przed 5000 lat byli wędrownymi kupcami, którzy sprzedawali rozmaite wonne ingredjencje, rozpuszczone w spirytusie. O wydobywaniu wonnego ekstraktu nie było jeszcze wówczas mowy.

Najstarszą europejską receptą na wyrabianie perfum jest przepis polecający gotowanie wonnych kwiatów albo roślin, następnie zbieranie już z ochłodzonej wody pachnących olejków, które się nagromadziły na jej powierzchni. Wodę tę z olejkami wlewano do flaszeczek i w ten sposób otrzymywano wonny płyn.





*Powyżej: Piękne panie mimo jedwabi i sajetów hołdowały wprawdzie pachnidłom ale rzadko tylko mydłu i wodzie. — Nalewo: Oto w jakich naczyniach przyrządzano w średniowieczu pachnące kremy i perfumy.*

Pewien rodzaj parfum zaczęto produkować na wielką skalę w XV wieku. Jest to płyn znany w dawnej Polsce pod nazwą „larenhogry", perfumy naszych prababek i zalotnych prąszczurów. Słowo to jest przekręceniem francuskiej nazwy „Eau de la Reine d'Hongrie". Wytwarzano ją z kwiatów rozmarynu i jakiegoś roztworu terpentyny. Początkowo nie używano tej wonnej wódki jako perfum, lecz jako lekarstwa, smarowano nią bowiem członki przeciwko reumatyzmowi. Później usunięto z „larenhogry" terpentynę tak, że został tylko zapach rozmarynu. Z tej pierwszej recepty rozwinęła się później woda kolońska, tylko że zamiast rozmarynu używano olejku pomarańczowego i cytrynowego. Wodę kolońską począł fabrykować emigrant włoski Giovanni Farina, który w r. 1714 przybył do Kolonji. Gdy Farinie poczęło się dobrze powodzić, przybyło do Kolonji mnóstwo innych Włochów, noszących to popularne nazwisko tak, że powstało całe osiedle Farinów, wyrabiające „Wodę Kolońską".

Skąd się wogóle wziął pomysł skrapiania wonnościami ubrania i ciała? Zjawisko to bierze początek w niezbyt starannem pielęgnowaniu ciała w dawnych czasach. Nasi przodkowie nie kąpali się często i chętnie. Kąpiel uważano za pewnego rodzaju rozpustę i wyuzdanie, za co dzisiaj świętoszkowie uważają dancingi i kabarety. W średniowieczu łaźnie były istotnie miejscami, gdzie mężczyźni mieli sposobność poznawać t. zw. wesołe damulki. Również uważano za absurdalne, ażeby się człowiek codziennie rozbierał i w innej szacie, tj. w nocnej koszuli miał iść do łóżka. Ludzie spali poprostu w ubraniach. Michał Anioł opowiada, jak to całemi tygodniami nie zdejmował ubrania. W każdym razie częste zdejmowanie koszul było rzadkiem zjawiskiem w epoce, gdy koszula była jeszcze pewnego rodzaju luksusem.. Jest więc zrozumiałem, że od ówczesnego człowieka nawet „z dobrego domu" biły zupełnie nieprzyjemne zapachy. W ówczesnych lokalach publicznych, restauracjach, czy zajazdach panował poprostu... smród. Dodajmy do tego jeszcze fakt, że miasta już wcale nie średniowieczne, ale jeszcze w XVIII stulecia, nie znały kanalizacji, ani urządzeń sanitarnych. Skrapianie ubrania i ciała wonnościami było więc chęcią poprawienia owego niemiłego odoru. Oczywiście dla dzisiejszego człowieka wydaje się to tak monstrualnem, jakby ktoś wkładał rękawiczki na brudne ręce i zaniedbane paznokcie — aby się wydać czystym. Do wytwarzania perfum używano już dosyć wcześnie geranjum, olejku różanego, lawendy, kwiatu pomarańczowego, piżma. W firmie Houbiganta przy ul. Saint Honoré w Paryżu pokazują jeszcze dzisiaj rachunek, wystawiony dla Marji Antoniny za wody toaletowe i perfumy w wysokości 3000 talarów.

Perfumy w dzisiejszem tego słowa znaczeniu nauczyliśmy się dopiero wyrabiać w zeszłym stuleciu. Ażeby wytworzyć kilogram olejku fiołkowego potrzeba 300 kg kwiatów. Taki sam olejek znacznie taniej osiągamy drogą syntetyczną, jakkolwiek trzeba przyznać, że pomimo postępów techniki natura stwarza przyjemniejsze i trwalsze zapachy, aniżeli retorta Nie starczyłoby jednak kwiatów całej kuli ziemskiej. gdybyśmy chcieli pokryć zapotrzebowanie wszystkich pań, skrapiających się perfumami mimo, że właściwy sens oblewania się wonnościami już dzisiaj znikł. Przeważnie bowiem osoby używające perfum, przynajmniej tych najlepszych i najsilniejszych, rozbierają się codziennie idąc spać, zmieniają koszulę kilka razy tygodniowo, a co najważniejsze, nie uważają kąpieli za rzecz... niewłaściwą.

Do najdroższych naturalnych perfum należy ambra. Jest to produkt zwierzęcy, znajdujący się czasem we wnętrznościach chorych wielorybów-głowaczy. Zwykle natrafia się na małe kamyki ambry, wyjątkowo tylko wielkie kamienie dochodzą do 50 kg. Ambra wydaje bardzo miły zapach, który odznacza się wielką długotrwałością. Najlepsze więc perfumy, których zapach nie znika zaraz po skropieniu, są sporządzone na ambrze. Muszą te perfumy być jednak drogie, jeżeli 1 kg. ambry kosztuje dzisiaj przeszło 2.000 złotych.



*Pierwszymi wytwórcami perfum byli w dawnych czasach aptekarze, którzy uchodzili za „ogólnie" uzdolnionych.*

# "ERICTOR"

## reportaż z kosmosu

L. MASCHOFF

*Przed kilkoma dniami otrzymaliśmy od pana W. Ramsay, znanego dziennikarza amerykańskiego, niezwykle ciekawe sprawozdanie, dające nam obraz olbrzymiego postępu techniki w tym kraju. Poniżej przytaczamy dosłowne tłumaczenie.*

Rzecz, rozumie się samo przez się, zdarzyła się w Ameryce, gdyż tylko tam, pośród Yankesów, znaleźć można ludzi zdolnych do podobnych wyczynów. W Europie uważanoby to za utopję, pomysł godny szaleńców i zamiast dać genjalnym konstruktorom pomoc finansową, wyśmianoby ich w najlepszym razie, o ile nie osadzonoby ich odrazu w szpitalu dla warjatów. U nas, w Ameryce, rzecz ma się zupełnie inaczej. Tu duma narodowa nie dopuszcza do tego, aby pomysł jakiś, którego genjalność każdego odrazu uderza, pozostał w zapomnieniu lub co gorsza, dostał się do Europy, gdzieby go tylko po części zrealizowano i tę parodję nieprześcigniętej myśli uważano za płód europejskiej wiedzy. W Ameryce jest inaczej. Tam dwom genjalnym konstruktorom napłynęły z kilku stron tak hojne zapomogi, że nietylko umożliwiło im to przez szereg lat spokojną pracę nad ich wynalazkiem, ale jak najdokładniejsze skonstruowanie aparatu i wyposażenie go w zbytek, wobec którego najfantastyczniejsza wyobraźnia laików okazałaby się dziecinnem marzeniem.

W wielkiej tajemnicy, ale dzięki niestrudzonej pracy, został w ciągu trzech lat zbudowany pierwszy aparat do swobodnego podróżowania z ziemi na księżyc i spowrotem. Twórcami jego byli — inżynier Wiliam Ericson i Jahn Torslay. Obu pochłonęła ta sama myśl, obej zabrali się do pracy z równym zapałem i poświęceniem. Żadna zazdrość, żadne pragnienie wyróżnienia się nad drugiego lub zyskanie większego uznania, nie mąciło ich współpracy.

Przy finansowej pomocy trzech miljonerów, panów Black, Cook i Bonfelder, których ambicją było, aby jako pierwsi zatknęli chorągwie o 38 gwiazdach na kraterze Kopernika i tem samem wzięli oficjalnie księżyc pod zwierzchność rządu U. S. A — postępowała praca od lat w największej tajemnicy, właśnie z obawy przed przedostaniem się pomysłu tego do Europy, a również, aby się o tem nie dowiedziała przypadkowo jakaś konkurencyjna organizacja innych miljonerów, którzyby koszta zatknięcia gwiaździstej chorągwi na księżycu przed panami Black, Cook i Bonfelder z przyjemnością pokryli. Ale teraz, gdy aparat był już gotowy i nic nie stało na przeszkodzie, by odbyć pierwszą podróż według ustalonego terminu, dnia 15 września o godzinie 8-mej rano wszystkie gazety przepełnione były tą wiadomością i wszystkie wysłały na miejsce startu swych reporterów i fotografów. Z prasy amerykańskiej podniósł się pod niebiosa entuzjastyczny hymn radości spowodu dokonania tak epokowego wynalazku przez genjalnego ducha amerykańskiego i ustalenie nigdy niedającego się obalić rekordu pierwszeństwa tak pod względem rodzaju podróży, jak i budowy maszyny.

A wynalazek sam? Dla niefachowca mógłby wyglądać jak olbrzymi zwykły aeroplan o czterech motorach. Tak się też zewnętrznie na pierwszy rzut oka przedstawiał. Kadłubem jego była torpeda o 57 metrach długości i 8 m średnicy. W jej wnętrzu było pięć luksusowych kabin sypialnych, o jakich nawet okręty jak „Bremen" albo „Normandie" marzyć nie mogły, salon, jadalnia, łazienka, kuchnia, kolosalne komory z prowiantami, gdyż zamierzano na księżycu spędzić kilka tygodni w celach poznawczo-orjentacyjnych. Oddzielnie wbudowano olbrzymie komory z tysiącami galonów benzyny i skrzyniami, zawierającemi tysiące rakiet. Bo aparat ten nie był niczem innem, jak połączeniem aeroplanu o motorach benzynowych z przyrządem, popędzającym przez wybuch rakiet. Opierając się na doświadczeniach rakietowych, poczynionych w Europie, doszli amerykańscy konstruktorzy do przekonania, jak błędnem jest użycie rakiet do rozpędu początkowego przez proste wystrzeliwanie torpedy w powietrze. Już po pierwszej eksplozji traciła torpeda wskutek wstrząsu właściwy kierunek i z zawrotną szybkością wpadała w morze, albo rozbijała się o jakąś skałę. Tutaj po raz pierwszy miała być zastosowana metoda współpracy motoru i rakiety, polegająca na tem, że przy pomocy motorów miał się aeroplan wznieść w powietrze na wysokość 6—8 tysięcy m, a biorąc kierunek na księżyc, osiągnąć 500 kilometrów na godzinę. Wówczas dopiero miała nastąpić eksplozja najmniejszej rakiety, wyłączając automatycznie dalsze funkcjonowanie motorów, których praca byłaby już zbyteczna, a przez dalsze ekqplozje coraz silniejszych rakiet, doprowadzić szybkość do 12 kilometrów na sekundę, dzięki czemu możnaby z łatwością osiągnąć wysokość 120 kilometrów i przezwyciężyć prawo przyciągania magnetycznego, a samo prowadzenie aeroplanu, odbywałoby się zupełnie normalnie. Analogicznie postąpionoby jednak w porządku odwrotnym, przy odpowiedniem zbliżaniu się do księżyca lub ziemi, to znaczy, wstrzymanoby eksplozje rakiet, przez co automatycznie poczęłyby pracować znowu motory, osiągając odrazu chyżość 500 kilometrów na godzinę, a lądowanie na księżycu nie sprawiałoby dla takich pilotów jak Ericson i Tornay najmniejszej trudności. Czas lotu z ziemi na księżyc obliczali na 60—61 minut. Po księżycu, zależnie od panujących tam warunków atmosferycznych, zamierzali urządzać podróże, szczególnie zaś pragnęli dostać się na drugą półkulę, której jeszcze żaden z mieszkańców ziemi nie widział. Byłby to drugi rekord pierwszeństwa, przypadający znowu fladze amerykańskiej. Ale również pod względem luksusowego urządzenia torpedy zdobyto także rekord. Całe wnętrze ogrzane było elektrycznemi piecami, zasilanemi prądem z motorów. Można było wytworzyć dowolną temperaturę. Wszędzie były poumieszczane mikrofony, które każde wypowiedziane słowo miały przesyłać na ziemię, celem utrzymania z nią stałego kontaktu. W środku torpedy umieszczono stację nadawczą, możliwie małych rozmiarów, ale o kolosalnej sile, przewyższającą wszystkie stacje dotychczas istniejące. Boczne ściany torpedy wypełnione były częściowo szybami o grubości 35 cm i wytrzymałości najsilniejszych płyt stalowych, które nietylko pozwalały na dopuszczenie światła do wnętrza, ale również na obserwowanie mijanych okolic. Z tego też powodu, wzięli ze sobą wszyscy trzej pasażerowie aparaty fotograficzne. Prócz tego wyposażona była torpeda w niebywałe dotychczas żarówki, dające siłę światła lampy łukowej. Niepodobna opisać wykończenia foteli i kanapek, nad których skonstruowaniem głowili się najlepsi architekci.

Dnia 15. września o godzinie czwartej rano był już plac lotniczy przepełniony nieprzeliczonemi tłumami. Bez przerwy nadlatywały ze wszystkich stron Ameryki aeroplany z reporterami, fotografami i ciekawymi, którzy nie mogąc odbyć pierwszej podróży na księżyc, chcieli przynajmniej widzieć pierwszych ludzi, udających się w tę podróż, aby po latach móc powiedzieć: — „ja ich widziałem".

O siódmej godzinie wytoczono z hangaru olbrzymią maszynę. Na srebrno aluminiowym kadłubie widoczny był napis o 8-mio metrowej wysokości „Erictor". I ta nazwa maszyny była nowym dowodem serdecznej współpracy obu konstruktorów, tworzących z pierwszych połów swych nazwisk nazwę dla wspólnego dzieła. Publiczność przyjęła maszynę huraganem oklasków.

Trzydzieści minut przed odlotem wyszli na lotnisko obaj konstruktorzy i ich finansowi opiekunowie. Znowu przeszła ponad tłumem burza oklasków. Zaterkotały aparaty filmowe wszystkich wytwórni amerykańskich. Tysiące razy trzasnęły aparaty fotograficzne w rękach publiczności. Panowie miljonerzy dali się podziwiać i przyjmowali hołdy z taką miną, jakby właśnie oni byli twórcami tego arcydzieła technicznego. W rękach ich widziano zwinięte sztandary, które mieli zatknąć na kraterze Kopernika. Zachwyt tłumów nie miał granic.

Po umocowanych na bocznej stronie kadłuba schodach, weszli wszyscy pięciu do wnętrza torpedy. Zamknęli za sobą hermetycznie otwór... W kilka minut później zawarczały motory i olbrzym o rozpiętości skrzydeł 128 metrów, wzniósł się lekko w powietrze. Zatoczył koło nad lotniskiem i po chwili znikł w obłokach. Zegary wskazywały godzinę 8-mą minut dwie.

Tłumy, żywo gestykulując, poczęły się rozchodzić, tylko mała grupka wtajemniczonych i zaproszonych dziennikarzy udała się na-

tychmiast do jednej z sal biura zarządu placu lotniczego, gdzie zastali już kilka osób należących do najbliższych rodzin bohaterskich pilotów. W sali porozmieszczane były głośniki i aparaty, mające odbierać komunikaty z „Erictoru".

Wszyscy zajęli miejsca, mężczyźni zapalili papierosy lub fajki i w skupieniu czekano na pierwszą wiadomość. Upłynęło zaledwie siedem minut, gdy z głośników wydobył się szmer.

— Włączono stację nadawczą — odezwał się ktoś szeptem.

— Nie mogli tego poprzednio uczynić, gdyż motory nie wytwarzały jeszcze dostatecznej ilości prądu.

— Aha!

W tej samej chwili odezwały się głośniki.

— Hal-lo hal-lo — tu z samolotu Erictor mówi Ericson. Torney kieruje maszyną. Znajdujemy się na wysokości 9000 metrów, pędzimy z szybkością 520 kilometrów na godzinę. Motory pracują nadzwyczajnie. Za kilka minut włączymy aparat rakietowy.

— Hal-lo hal-lo — tu mówi Black. Wszystko jest all right. Czujemy się jak u siebie w domu. Jesteśmy wszystkiem oczarowani. Wszystko przekroczyło nasze oczekiwania. Pod nami roztacza się ziemia jak różnobarwna płaszczyzna. Niesamowity widok. Wrażenia tego nie można w słowach wypowiedzieć. Jestem zachwycony. Proszę zawiadomić współpracowników mojego banku, że chcąc im umożliwić przeżycie tych samych emocyj, wzywam ich do natychmiastowego założenia aeroklubu „Black". Na kupno pierwszego aparatu i wyszkolenia członków, przeznaczam 100.000 dolarów.

— Hal-lo hal-lo — tutaj Cook. Mogę jedynie potwierdzić słowa Blacka aż do miejsca założenia aeroklubu w jego firmie. Jestem zdania, że latanie aeroplanami zniechęciłoby tylko urzędników do dalszej pracy biurowej.

— Hal-lo hal-lo — tu Ericson. Przechodzimy teraz na siłę popędową rakiet. W odstępach dziesięciosekundowych będą eksplodowały coraz silniejsze rakiety. Pierwsza rakieta eksploduje teraz — bummmm — tachometr wskazuje szybkość trzech kilometrów na sekundę. Druga eksplozja. Pięć kilometrów szybkości sekundowej. Mimo umieszczonych elektrycznych ogrzewaczy szyb, okna od wewnątrz zamarzły. Trzecia rakieta. Osiem kilometrów na sekundę. Tarcza księżyca rośnie przed nami do gigantycznych rozmiarów. Najdokładniej widzimy na niej góry, doliny, przepaście, lodowce... W tym samym stosunku maleje nasza ziemia. Szybkość dziesięciu kilometrów na sekundę osiągnięta. Ziemia wygląda jak duży globus z wielkości drapacza chmur. Ale średnica jego stale się zmniejsza. Uzyskaliśmy chyżość 12 kilometrów na sekundę. Otacza nas zupełna noc. Pod nami świeci różowo nasza ziemia jak duża gwiazda — przed nami srebrzy się wzrastająca kula księżyca. Za pół godziny będziemy u celu. Mamy tyle prądu, że możemy włączyć wszystkie mikrofony.

Z tego, co teraz słyszano w sali na lotnisku, można sobie tylko zrekonstruować następujący obraz:

Trzej miljonerzy i Ericson siedli przy stoliku. Ponieważ słyszano każde słowo, miano najdokładniejsze pojęcie o nastroju, jaki tam panował.

Rakiety najsilniejszego typu eksplodowały regularnie w odstępach piętnasto-sekundowych. Prowadzone rozmowy nie były tak poważnej treści, aby je dosłownie według stenogramu powtarzać. Słyszano, jak wystrzeliwał korek szampana, jak bulgocąc napełniały się kieliszki i jak Bonfelder wzniósł toast na cześć rządu U. S. A. Było to powodem do otwarcia nowej flaszki szampana, o którą tym razem dopominał się Cook.

— Jestem zdania, moi panowie, aby korzystając z sytuacji, że jesteśmy między sobą, zawołać z pełnych piersi — Niech żyje nasze kawalerskie!

— All right, mr. Cook.

Trącili się kieliszkami.

— Na-sze ka-wa-ler-skie wypowiedziały równocześnie trzy głosy.

— Okey!

— Wogóle z tym księżycem jest znakomita rzecz — odezwał się Black — naprzykład moi panowie, gdyby moja magnifika robiła mi w domu jakie hece — w tej chwili do Erictoru i za godzinę jestem na księżycu. Jeszcze dalej od niej wyfrunąć nie można.

— He, he, he — zaśmiał się Cook — znakomite, ale mam lepszy pomysł. Wyślijmy nasze żony na miesięczny urlop na księżyc. Co do mnie, może być nawet dwumiesięczny. Moglibyśmy im codziennie posyłać świeże pieczywo na śniadanie i „Morning Post".

— Okey — zawołał Black.

— Pssst, — dał się słyszeć ostrzegający głos Ericsona — moi panowie, mikrofony są włączone. Każde słowo słychać na ziemi.

— Ja tylko tak w żarcie — tego — hm — odezwał się Cook.

— Przecież tego nie można brać na serjo.

— Pan strasznie zbladł, mr. Black, czy pan się źle czuje? — zapytał Bonfelder.

— Obawiam się, że dopiero po powrocie będę się źle czuł.

— Po powrocie?

— Pan tego nie zrozumie — odpowiedział złamanym głosem — pan nie jest żonaty. Kto wogóle wpadł na ten głupi pomysł, aby włączyć mikrofony — zawołał Black?

— Do stu par djabłów, a to co takiego — zaklął niespodziewanie Tornay przy kierownicy — Erickson, chodź natychmiast do mnie.

Ericson stał już przy nim.

— Co się stało?

— Ster boczny nie funkcjonuje. Zaciął się i nie mogę sprowadzić go do normalnego położenia. Zbaczamy o trzy kilometry na sekundę.

— Terrible!

— Jak się nam nie uda uruchomić steru, miniemy księżyc. Przelecimy w odległości 1000 kilometrów od niego.

Szarpnął jeszcze raz kierownicą na prawo i lewo — daremnie. Ster nie poddał się.

Tornay spojrzał na Ericsona — ten go zrozumiał.

— Jesteśmy straceni — powiedział półgłosem.

— Co się stało? — krzyknął Black.

— Jeżeli cudem jakimś nie uda się nam lądować na księżycu, to dalszy nasz lot pójdzie w nieskończoność — odpowiedział spokojnie Ericson.

— Na podróż w nieskończoność nie mam czasu — zawołał Bonfelder — wziąłem sobie urlop tylko na księżyc.

— Wykluczone, abyśmy dojechali do księżyca — dodał Tornay — już coraz wyraźniej przesuwa się tarcza jego na prawą stronę.

— To ją przesuńcie na lewą, a jak nie, to proszę stanąć. Wysiadam! — zawołał Bonfelder.

—Natychmiast wracać na ziemię! — krzyczał Cook. — Dość mam tej warjackiej jazdy.

— Czy pan tego jeszcze nie pojął, że ster nie funkcjonuje?

— Nic mnie to nie obchodzi, oświadczam, że wysiadam!

— Proszę zachować zimną krew! — wołał Tornay.

— Natychmiast wracać na ziemię, zrozumiał pan?

— Tu nie ma pan nic więcej do gadania — tutaj my jesteśmy za wszystko odpowiedzialni.

— Skoro aparat nie był jeszcze należycie wykończony, trzeba było czekać. To jest podłość wciągać nas w taką pułapkę!

—Licz się pan ze słowami, panie Black, pan nie jest u siebie w banku!

— Zostaliśmy oszukani! — krzyczał Black.

— Proszę natychmiast siąść przy stole i czekać — wołał Ericson. Kto nie zastosuje się do moich wskazówek, tego na mocy prawa kapitana na miejscu zastrzelę.

— Tak się odpłacacie za nasze miljony?

— Milcz pan!

— Mam prawo mówić!

— Milcz pan!

— Pan nie ma prawa rozkazywać!

— Aaaa — rozległ się przeraźliwy krzyk Cooka i Bonfeldera.

Co się następnie działo w Erictorze, tego nikt nigdy nie dociecze. Mikrofony zostały wyłączone. Przesiedzieliśmy około piętnastu minut w grobowej ciszy. Z głośników nie wydobył się żaden znak życia. Spojrzeliśmy znacząco po sobie... Nikt nie miał odwagi ruszyć się z miejsca. Każdy udawał, że nie zdaje sobie jeszcze sprawy z grozy położenia... Jeszcze nie tracił nadziei... A każdy z nas wiedział dobrze, jak straszna tragedja musiała się odegrać w zamkniętej torpedzie Erictoru.

Nagle znowu szum w głośnikach. Czyżby włączono mikrofon? — — —

Istotnie!

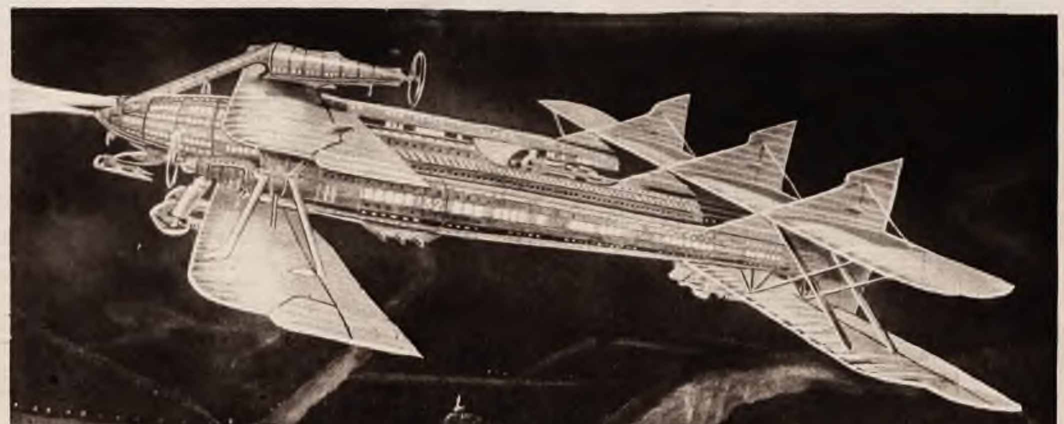
— Hal — lo hal — lo — odezwał się głos Ericsona — przelatujemy obok księżyca w odległości 1500 kilometrów — lądowanie wykluczone — za dwie minuty eksploduje ostatnia rakieta — poczem będziemy spadali w bezdeń — jesteśmy zgu — bie — ni...

Jeszcze kilka słów powiedział Ericson, ale głośniki nie mogły tego więcej oddać. Erictor przekroczył granicę utrzymania kontaktu z ziemią.

Był to ostatni komunikat, jaki otrzymaliśmy.

*OD REDAKCJI. Powyższy reportaż podaliśmy na podstawie przesłanego sprawozdania dziennikarza amerykańskiego, który był przy starcie Erictoru, a później w sali biura na placu lotniczym poczynił najdokładniejsze notatki.*

*P. S. W ostatniej chwili, już po złożeniu tego numeru, dowiadujemy się z miarodajnych sfer, że żadnego startu na księżyc w Ameryce nie było, a powyższe sprawozdanie jest typową kaczką dziennikarską, od początku do końca wyssaną z palca.*



*Kadłubem jego była torpeda...*

# OD „BERLINKI" DO RADJA



*Pocztyljon niemiecki w XVII wieku uzbrojony był w dzidę i parę pistoletów, gdyż narażony był na napaści ze strony grasującego żołdactwa.*



*Listonosze na wyspie Formozie pocztę noszą na plecach, chroniąc się przytem parasolem od niepogody.*

W czasach dzisiejszych w których w wymianie korespondencji konkuruje ze sobą poczta, telegraf, telefon, samolot i radjo, interesującą jest rzeczą rzucić okiem wstecz, w czasy zamierzchłe i przywieść na pamięć owe dziwaczne a zarazem bardzo ciekawe środki, które służyły ówczesnym ludziom przy przesyłaniu sobie wiadomości.

Zrodziło się pojęcie „poczty" niemalże równocześnie z narodzinami pisma i listu. Pierwotny list — to kartka papyrusu, zapisana egipskiemi hieroglifami, to kamienna tabliczka starożytnego wschodu, to woskowa płytka, na której Rzymianie posyłali przez gońców-niewolników komunikaty urzędowe i zwierzenia prywatne, to wreszcie indyjski liść palmowy, na którym ryto rylcem pisarskie znaki i zawiązywano potem palmowem włóknem.



*Na prawo: Europejską kolej, zastępuje w Indjach wschodnich szybkonogi wielbłąd, wiozący pocztę.*

Pierwszą „pocztę" stanowią piesi posłańcy. Oni to roznosili rozkazy możnych faraonów, oni przemierzali ogromne przestrzenie monarchji Aleksandra Wielkiego, ich to znał Rzym pod nazwą „tabellarii", oni też paradowali przez całe średniowiecze zdobni w czerwony kaftan i zielone spodnie, dzierżąc w ręku długą włócznię jako środek obrony a zarazem jako swoją odznakę urzędową.

Z biegiem czasu musi „listonosz" dosiąść rumaka. Graniem rogu zapowiada już wówczas przybycie do każdej miejscowości. Wkrótce jednak wzmagający się ruch i żywiej pulsujące życie stwarza wóz pocztowy, w którym pomieścić można już także pasażerów i bagaże. Pamiętne będzie w historji poczty nazwisko niejakiego Weigla, który w roku 1673 puścił w ruch swój „komfortowy ekwipaż pocztowy". On sam w ten sposób wychwala swą pocztę w okólniku, rozesłanym do wszystkich możnych tego świata:

„W moim powozie można tak wygodnie i rozkosznie siedzięć i leżeć, że wszelkie wstrząsy, powodowane wielką dróg nierównością znosi ciało w sposób wielce przyjemny a człowiek spoczywający na poduszkach doznaje wrażenia, jakoby był miłe do snu kołysany. Gdyby się zaś nawet zdarzyło, że wskutek nieostrożności parobka lub też zbytniego wzniesienia drogi, wóz niechybnie musi się wywrócić, to niechaj jadący nie lęka się żadnego nieszczęścia. Albowiem w takim wypadku można łatwo otworzyć drzwiczki i prędzej po jednemu wyskoczyć, co w innych pojazdach jest wielce utrudnionem". Inna rzecz, że nawet weiglowski pojazd nie uchronił — jak to stwierdzają kroniki — licznych pasażerów od dotkliwych ran i uszkodzeń przy wywróceniu się wozu.

We Francji pierwszą regularną pocztę zorganizował Ludwik XI. W swym dekrecie z roku 1464 oświadcza: „Jest bardzo potrzebne i doniosłe dla spraw moich i państwa, aby mieć „gorliwe" wieści ze wszystkich stron i móc ze swej strony, kiedy to się będzie dobrem wydawało, wieści rozpowszechniać. W tym celu ustanawiam we wszystkich miastach, miasteczkach, wsiach i zamkach oraz miejścach, w których to się stosowne wydaje pewną ilość koni, biegnących od etapu do etapu, zapomocą których rozkazy nasze mogłyby zostać szybko wykonywane a my sami moglibyśmy mieć wiadomości od naszych sąsiadów, kiedy tylko zapragniemy...".

Jeździły więc sobie wozy pocztowe po świecie przez cały wiek XVII, XVIII aż daleko w wiek XIX. Kształty ich bywały najrozmaitsze: po Danji jeździły poczty okrągłe niby kula; hiszpańską pocztę ciągnęły dwa rzędy mułów; po północnej Rosji sunęły pocztowe sanki, ciągnione przez reny i psy; w Ameryce kursowały dziwaczne pojazdy pocztowe wleczone przez woły. Każdy niemal kraj wytworzył swoisty typ pocztowego wozu.

Przesyłano pocztę i drogą wodną. Pełniły tę funkcję niewątpliwie już egipskie barki i nilowe statki, greckie tryery, rzymskie łodzie żaglowe a wkońcu pyszne okręty weneckich dożów. I płynęła też poczta powietrzem. Wszak cała komunikacja pocztowa obleganego w latach 1870—1871 Paryża odbywała się balonami lub... gołębiami. Trzysta sześćdziesiąt gołębi zmobilizował zarząd paryskiej poczty i załatwił przy ich pomocy rzekomo dwa i pół miljona listów.

Słów choćby kilka należałoby poświęcić przy tej sposobności także marce pocztowej.

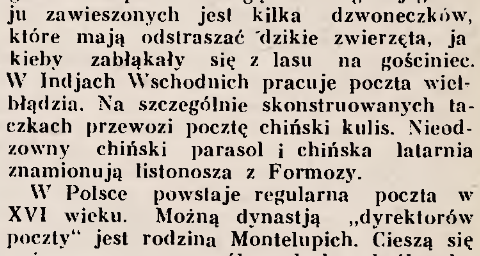
Wprowadził ją pierwszy zarząd poczty sardyńskiej, jednak tylko w formie stempla. Wynalazcą prawdziwej marki pocztowej jest Anglik Rowland Hill. W roku 1837 przedłożył on rządowi angielskiemu myśl wprowadzenia „małej nalepki papierowej dostatecznie wielkiej, by się na niej zmieściła pieczęć pocztowa. Ta nalepka mogłaby po przeciwnej stronie być powleczoną cienką powłoką gumy, któraby pozwoliła kupującemu bez trudu nalepić ją na dowolny list". Była to marka pocztowa w jej obecnej postaci. Poczta angielska nie odrazu przyjęła myśl Rowlanda Hilla, używała jeszcze przez długi czas koperty pocztowej, zaopatrzonej w skomplikowaną ozdobną winietę.

Echa minionych czasów spotykamy po dzień dzisiejszy w różnych egzotycznych krajach. W Indjach wciąż jeszcze przemierza tamtejsze drogi listonosz, dźwigający na plecach olbrzymi koc, który w razie deszczu chroni cenne przesyłki a czasem jego samego osłania przed szarugą. Na długim jego kiju zawieszonych jest kilka dzwoneczków, które mają odstraszać dzikie zwierzęta, jakieby zabłąkały się z lasu na gościniec. W Indjach Wschodnich pracuje poczta wielbłądzia. Na szczególnie skonstruowanych taczkach przewozi pocztę chiński kulis. Nieodzowny chiński parasol i chińska latarnia znamionują listonosza z Formozy.

W Polsce powstaje regularna poczta w XVI wieku. Możną dynastją „dyrektorów poczty" jest rodzina Montelupich. Cieszą się oni zawsze szczególną łaską królewską i „sprawują pocztę" nietylko wewnątrz kraju, ale także między Polską a Wenecją, Węgrami i innemi krajami.

Mówiąc o pocztach nie można pominąć organizatorów jej na terenie Świętego Państwa Rzymskiego — książąt v. Thurn und Taxis. Otrzymawszy przywilej na stworzenie sieci pocztowych w XVI wieku, książęta v. Thurn otrzymali jednocześnie tytuł „wielkich pocztarzy" cesarstwa (Grosspostmeister). Do połowy XIX wieku wszystkie karety pocztowe zaopatrzone były w herby tej rodziny, a nawet wydawali oni znaczki pocztowe ze swemi emblematami. Dopiero przewagę zdobywające Prusy „utrąciły" Thurn-Taxisów z ich wyjątkowego stanowiska.

**Alfred Laniewski.**



*Oto jak wyglądał w Indjach list pisany na liściu palmowym, oraz pióro drewniane służące do korespondencji.*

# Wielka rocznica muzyki włoskiej

Zjawiają się czasem na świecie istoty, wyposażone hojnie przez naturę talentem i wrodzonym urokiem i zniewalające do podziwu i hołdu współczesnych. Takim wybrańcem losu był Wincenty Bellini. Opatrzność niedługo pozwoliła mu cieszyć się radością życia. Podobnie jak Mozart, Szubert, Weber, Chopin, Karłowicz i inni genjusze, tak i Bellini wcześnie zeszedł ze świata. Zgasł, licząc niespełna 34 lata.

Wincenty Bellini urodził się 1-go listopada 1801 roku w Katanji na Sycylji z rodziny zawodowych muzyków. Ojciec Wincentego, Rosario, pragnął dla syna lepszej karjery niż być „grajkiem", lecz talent chłopca zarysował się już tak wybitnie w latach dziecięcych, że na koszt miasta został posłany do Palermo na studja początkowe, a w 1819 przyjęto go do konserwatorjum św. Sebastjana w Neapolu. Profesor jego, Zingarelli, uczeń słynnego Durante wyrażał się o nim: „zdolny, ale powierzchowny. Przyswaja sobie łatwo, bez mozołu, wiedzę muzyczną, ale nie lubi zanadto zgłębiać i wysilać się na pedantyczną pracę. Woli marzyć, fantazjować!".



Wincenty Bellini, znany muzyk włoski i twórca licznych oper.

Urodziwa jego twarz, o delikatnych rysach, dużych błękitnych oczach, bujnej, złotowłosej, jak dojrzałe kłosy czuprynie, niedarmo zwał się Bellini („pięknicki"), nie zdradzała zewnętrznym wyglądem południowca a raczej przypominał syna północnych stref. Lubił ubierać się eleganko, może nieco pretensjonalnie i uchodzić za wykwintnisia, niefrasobliwie wywijającego laseczką, który chce się podobać wszystkim, a zwłaszcza kobietom.

Z pobytu jego w konserwatorjum datuje się pierwsza miłość do koleżanki z lekcji śpiewu, Magdaleny Fumaroli. Miał zamiar z nią się ożenić, lecz rodzice panienki nie chcieli mu córki oddać, póki sobie nie zdobędzie stanowiska. Bellini wprawdzie zdobył później stanowisko niepoślednie i sławę... ale wtedy już nie myślał o ożenku z panną Magdaleną. Panna Fumaroli wstąpiła po skończonych studjach na scenę i podczas swej karjery śpiewała rolę Imogeny w „Piracie", operze byłego narzeczonego.

Jeszcze przed ukończeniem konserwatorjum mianowano Bellini'ego korepetytorem muzycznym (maestrino) i powierzono mu korektę kwartetu Haydna i Mozarta, z czego wywiązał się pierwszorzędnie. Jednocześnie pisał szereg symfonij, uwertur, psalmów, trzy msze, kilka małych utworów na fortepian z towarzyszeniem fletu, oraz odegrano na scenie konserwatoryjnej króciutką operę p. t. „Andelson i Salvina". Młodzieńczy ten utwór miał szczęście podobać się słuchaczom. Słynny naonczas, impresarjo Barbaja, kierownik trzech wybitnych teatrów: San Carlo w Neapolu, La Scala w Medjolanie i opery w Wiedniu wyraził się bardzo pochlebnie o twórczości młodego kompozytora. Zachęcony życzliwem zainteresowaniem się przez tak wpływową i kompetentną osobę, jakim był popularny impresarjo, Bellini zabrał się gorliwie do dalszej pracy. Skomponował kantatę „Ismenę" i nową operę: „Bianca i Fernando", której tytuł musiał zmienić na „Bianca i Gernando", ponieważ ówczesna cenzura uważała za obrazę majestatu używanie imienia króla na deskach teatru. Panował wtedy w Neapolu Ferdynand II.

Operę wystawiono w Neapolu 30-go marca 1826 r. w obecności króla, okazującego entuzjastyczne zainteresowanie. Może opera jeszcze nie zasługiwała na miano arcydzieła, ale poparcie króla ten „łut szczęścia" dopomogły do dalszego powodzenia i utrwaliły rozgłos Bellini'emu.

W następnym roku 1827 Belllini wystawił na scenie La Scali „Pirata". Po tem widowisku twórczość jego zaczęto porównywać w świecie muzycznym z twórczością Rossini'ego, dzierżącego dotychczas berło pierwszeństwa. Rossini był mistrzem formy, niezrównanym cyzelatorem kunsztu muzycznego. Bellini nie lubił zbyt drobiazgowo opracowywać swych kompozycyj, ale porywał szczerem uczuciem i natchnieniem, a słodkim liryzmem wzbudzał dreszcze zachwytu we współczesnych słuchaczach. Bezsporną jego zasługą było staranne dobieranie tekstu do melodji, na co dawniej nie zwracano dostatecznej uwagi. Odchylał się od sztywnej formy i lekceważył sobie obowiązujące kanony muzyczne — natomiast specjalną uwagę poświęcał zespołowej muzyce w swych partycjach — szczególniej kwartety i kwintety opracowywał po mistrzowsku — „wypieszczał" je drobiazgowo.



Operą cieszącą się we Włoszech największą sławą jest, obok neapolitańskiego „Teatro San Carlo", opera „La Scala" w Medjolanie.

Po „Piracie" nastąpiła „Cudzoziemka". Operze tej słynny krytyk i pisarz Stendhal poświęcił entuzjastyczne sprawozdanie, lecz w krytyce swej pomylił się co do daty, twierdząc, że „Cudzoziemkę" słyszał 4. XII. 1826, a w istocie ujrzała ta opera światło rampy dopiero 14. II. 1829.

Następna opera: „Zaira" wystawiona w Parmie mniej się powiodła. Niezrażony małem niepowodzeniem Bellini wystawił w Wenecji w 1830 „Capulet i Montecchi". W tej operze „zapożyczył się" sam u siebie i przemycił do partycji żywcem motywy z „Zairy" a 4-ty akt dołączył z opery „Romeo i Julja", skomponowanej przez słynnego profesora śpiewu Vaceai, za zezwoleniem sędziwego „maestra". Jakkolwiek opera ta była dziwacznym zlepkiem, odniosła sukces niespodziewany, ponieważ Romea śpiewała znakomita Marja Malibran.

W Genui napotkał Bellini śpiewaczkę Judytę Turino. Kreowała ona rolę Cudzoziemki. Serce Bellini'ego rozgorzało afektem. Miłość ta natchnęła go do napisania jednego z najlepszych jego dzieł: „Lunatyczki", wystawionej 6 marca 1831 w Medjolanie. W stosunku do kobiet Bellini miał dziwne szczęście do imienia Judyty. Judyta Pasta, Judyta Turino, Judyta Grisi... Miłość do Judyty Pasta stała się źródłem nowego natchnienia — temu uczuciu zawdzięczamy skomponowanie „Normy" uznanej za perłę twórczości Bellini'ego. „Normę" wystawiono w La Scali z wielką pompą 26. XII. 1831. Na pamiątkę świetnego sukcesu muzycznego i wokalnego, Pasta ofiarowała mistrzowi lampę, przy której studjowała partję Normy. Powszechnie wiadomo, że arja kapłanki: „Casta Diva" służy po dziś dzień za popis wokalny znakomitym śpiewaczkom. W Polsce śpiewała tę partję słynna Dowiakowska i Rivoli.

Po mniej przychylnem przyjęciu na scenie w Wenecji „Beatrice di Tenda" Bellini przyjął zaproszenie dyrektora włoskiego teatru w Paryżu (Theatre des Italiens) i w 1835, czyli w niespełna dwa lata po przybyciu do Paryża, miał szczęście ująć sobie publiczność paryską nową swą operą: „Purytanie". Towarzystwo paryskie przyjęło osobę Bellini'ego i jego kompozycje z wielkim entuzjazmem i serdecznością. Niewątpliwie przyczynił się do tego Rossini, który przyjaźnie torował drogę młodszemu koledze. (Opera „Purytanie" znana jest Warszawie z lat przedwojennych w świetnej obsadzie z Mattia Battistinim i koloraturową primadonną Reginą Pacini).

Bellini osiedlił się na wsi pod Paryżem w Puteaux i zamierzał wiele jeszcze komponować, lecz krótka, 8-dniowa choroba ślepej kiszki, której wówczas nie umiano operować, nie pozwoliła mu dokończyć rozpoczętych prac. Umarł sto lat temu 23 września 1835 w osamotnieniu na rękach najemnego ogrodnika. Dokładnie w pierwszą rocznicę jego zgonu zgasła Marja Malibran, jego wierna przyjaciółka.

Dziś opery Bellini'ego należą do muzycznej przeszłości, do historjł. Ale choć stulecie dzieli nas od ich skomponowania, melodje te po dzień dzisiejszy zachowały świeżość, liryzm i młodzieńczy temperament, pulsują gorącem i szczerem uczuciem. Współczesnym upodobaniom mogą się wydać zbyt słodkie, „afektowane", lecz nie szarpią nerwów zgrzytami suchych dosonansów, jak to często się dzieje w muzyce modernistycznej; w przeciwieństwie do często spotykanej dziś chaotyczności — jasnością stylu i melodyjnością działają kojąco, interesują na nowo słowem... wracają do mody.

Utwory Belliniego śpiewane są na różnych scenach europejskich i należą do stałego repertuaru wielkich teatrów lirycznych. Kompozytorska działalność Bellini'ego posiada bardzo poważne znaczenie i zasługę dla rozwoju stylu operowego.

**Wanda Mirowska.**



# PŁYNĄ LASY...

Na rzekach w północnej Szwecji spławia się olbrzymie ilości drzewa, które całemi tygodniami płyną ku morzu, jako jeden z najważniejszych towarów tego kraju.

# TAJEMNICE ZIELONEGO STOŁU

## ZWIERZENIA KRUPIERA.



*Na lewo: Krupier, poruszając rączkę rulety puszcza w ruch koło, które zadecyduje o wygranej lub klęsce grających.*

Do wszystkiego trzeba wprawy, a cóż dopiero jeżeli chodzi o spowodowanie kapryśnej Fortuny, aby zechciała się do nas uśmiechnąć! Taką „centralą“ szczęścia i powodzenia jest, poza loterjami i nieoczekiwanemi spadkami po wujach z Ameryki, — kasyno gry w Monte Carlo. Wprawdzie i ono doznało w ostatnich czasach uszczerbku, lecz mimo to zachowuje w dalszym ciągu swój dawny prestige.

Trudno jest wygrać w „trente-et-quarente“, ale również trudno znać wszystkie zwyczaje zielonych stołów, umieć się obchodzić z kulką z kości słoniowej, krążącą po ruletce i zgarniać pieniądze łopatką. Aby „wychować“ odpowiednich krupierów stworzono w Paryżu specjalną szkołę, która tych właśnie mądrości uczy swoich pupilów.

* * *

Przed drzwiami szkoły toczy się krótka rozmowa.

— Czy to tu?

— Tak, a zresztą jest przecież napis na drzwiach! Czy pan chce się tu zapisać?

Okazało się, że kartka, którą otrzymałem od panienki, sprzedającej tytoń w składzie papierosów, mówiła prawdę. Oto znajduję się w szkole, w której w przeciągu trzech miesięcy, o ile naturalnie będę pilnie pracował, mogę zostać krupierem, poznawszy wszystkie arkana tego zawodu. Droga jest tu otwarta dla wszystkich, a ściśle mówiąc zgodnie z literą przepisu mogą zostać krupierami „wszyscy“ Francuzi pełnoletni, niekarani, którzy ukończyli kurs szkoły“.

Mój rozmówca, poważny, na czarno ubrany jegomość, rozgadał się na temat szkoły.

— Niech panu się nie zdaje, że brak jest stanowisk dla wyuczonych krupierów. Proszę wziąć pod uwagę, że wkrótce otwiera kasyno w Cannes ruletkę, a i inne kasyna pójdą za tym przykładem. Natomiast trzeba się obawiać, że zabraknie krupierów, gdyż gdzie właściwie ich szukać? Prawo wymaga, aby krupierzy zajęci w kasynach, byli obywatelami francuskimi, lecz skąd ich wziąć? Niezadługo będzie we Francji trzysta do czterysta posad dla krupierów, a w całości mamy trzydziestu kandydatów. Możnaby temu zaradzić, gdyby się do tych stanowisk dopuszczało również obywateli księstwa Monaco, jak również Belgów i Szwajcarów. Więc pan jest jednym z tych, którzy zamierzają zapisać się do tej szkoły?

— Niech pan pozwoli mi wpierw zastanowić się nieco i wytłumaczy mi, na czem właściwie polega nauka?

— Proszę, niech pan wejdzie, a przekona się pan sam.

Wchodzimy do dużej sali, w której znajduje się znany duży stół ruletkowy. Właśnie rozpoczęto naukę.

— Oto pierwsze zadanie, jakie na nas czeka — mówi „wykładający“ profesor, — umieć rozłożyć żetony. Tłumacząc obecnym, poważnie wyglądający starszy pan, który przypomina nieco maitre d‘hôtel‘a, a był krupierem w Monte Carlo, rozkłada jedną ręką 25 żetonów czerwonych w jedną równiutką linję.

— Proszę, niech panowie spróbują.



*Oto „zielony stolik“ rulety z magicznymi numerami, przy którym uczą się przyszłych funkcji kandydaci na krupierów.*

Wśród dziesięciu uczniów, którzy siedzą przy stole, większość obeznana jest z salami gry i spełniała funkcje krupiera przy bakaracie, lecz niektórzy z nich z trudnością tylko powtarzają zademonstrowane ćwiczenie.

Rozpytuję się o zawód poprzedni tych kandydatów do kasyna gry. Jeden z nich był szoferem, drugi kelnerem w małej restauracyjce, trzeci sprzedawał na targu jarzyny.

Na widok aparatu fotograficznego jeden z młodych ludzi wstaje gwałtownie od stołu.



*Jak tylko zatrzyma się kulka z kości słoniowej na ruletce, krupier łopatką zgarnia żetony z numeru, który „wyszedł".*



*Donajtrudniejszych zadań krnpiera należy prawidłowe „puszczenie" w ruch kulki na ruletce.*

— Co ci się stało? — pyta się mistrz ruletki. Cóżby to nawet szkodziło, gdyby się twój szef dowiedział, że tu się uczysz?

Ale już odzywa się głos:

— Faites von jeux, Messieurs!

Mój opiekun ujmuje rączkę rulety, porusza ją i rzuca kulkę. Z chwilą, kiedy dobiega ona do pewnej metalowej ozdoby, znajdującej się na ruletce, ogłasza:

— Rien ne va plus!

W międzyczasie stół zaroił się od różnokolorowych żetonów. Każdy z nich przedstawia nominalną wartość setek i tysięcy franków, które ślizgają się po zielonym suknie, tańczą i kręcą się.

— Najtrudniejszą rzeczą — oświadcza mi mój sąsiad — jest rzucać żetony i dobrze trafiać. Czy pan wygrał?

W tejże chwili zgrabnym ruchem łopatki zgarnia z niebywałą szybkością żetony, które leżą na numerze.

— Tak, drogi panie, niech pan się nie dziwi! Gracz zawsze przegrywa, są tacy, którzy krócej lub dłużej się bronią, ale na długą metę nie ma systemu, któryby był coś wart. Te wszystkie aparaty rejestrujące poruszane prądem elektrycznym, które pan może zobaczyć w Monte Carlo, to są, między nami mówiąc, błazeństwa.

— Więc naprawdę niema dobrego systemu?

— Powiem panu szczerze i pod sekretem — jeżeli mi ktoś mówi, że wygrał miljon dziesięcioma frankami, to można w to uwierzyć. Sam takie wypadki widziałem. Pewna dama rozpoczęła grę dwudziestoma sous, pożyczonemi od jednego urzędnika i wygrała dużą sumę. Jeżeli jednak ktoś będzie twierdził, że jednym miljonem wygra dziesięć franków, gdyż posiada system, wyśmieję się z niego.

— A bank?

— Bank? To już inna sprawa. W „boule" bank posiada jedenaście szans na sto, że wygrywa, w ruletce natomiast tylko dwa. Na tem polega cały dowcip. Dlatego też nie można się dziwić, jeżeli dyrektorzy kasyn sprzeciwiali się codziennemu załatwianiu rachunku, gdyż może się zdarzyć, że mając do czynienia z szczęśliwym graczem w ruletkę, bank straci pięćset tysięcy franków jednego dnia. Oczywiście, że dnia następnego bank się odegra, ale państwo inkasuje z tych zysków odpowiednie procenty, mało się troszcząc o straty. Z tych też powodów kasyna prosiły o obliczenia dwutygodniowe, aby straty i zyski mogły się wyrównać.

Oto kilka szczegółów z zakulisowych spraw zielonego stołu, przy którym jedni wygrywają miljony, inni tracą majątek, a nieraz i życie, a wszyscy szukają w wirującem kole rulety swego szczęścia.

Ta właśnie niepewność wygranej powoduje, iż rokrocznie tysiące ludzi dąży do Monte Carlo, Cannes, St. Tropez i innych miejscowości, posiadających ruletkę. Jest to napozór paradoks, który jednak zakorzeniony w psychologji człowieka, powoduje nim od wieków.

**John.**



*Zanim rozpocznie się lekcja, krupier sprawdza zapomocą wagi wodnej, czy ruletka równo stoi na stole, bo od położenia jej zależą wyniki gry.*



*Jedna z sal gry w kasynie w Monte Carlo, gdzie miljony franków zmienieją szybko właściciela.*



Romantyczny urok architektury Wawelu, wydobyty światłem reflektorów.







*Od lewej: Wyłonione światłem reflektorów piękno rzeźby Berniniego, na Placu Esedra. — Świetlna fontanna na Placu Zgody. — Ustawienie reflektorów na dachu katedry medjolańskiej.*



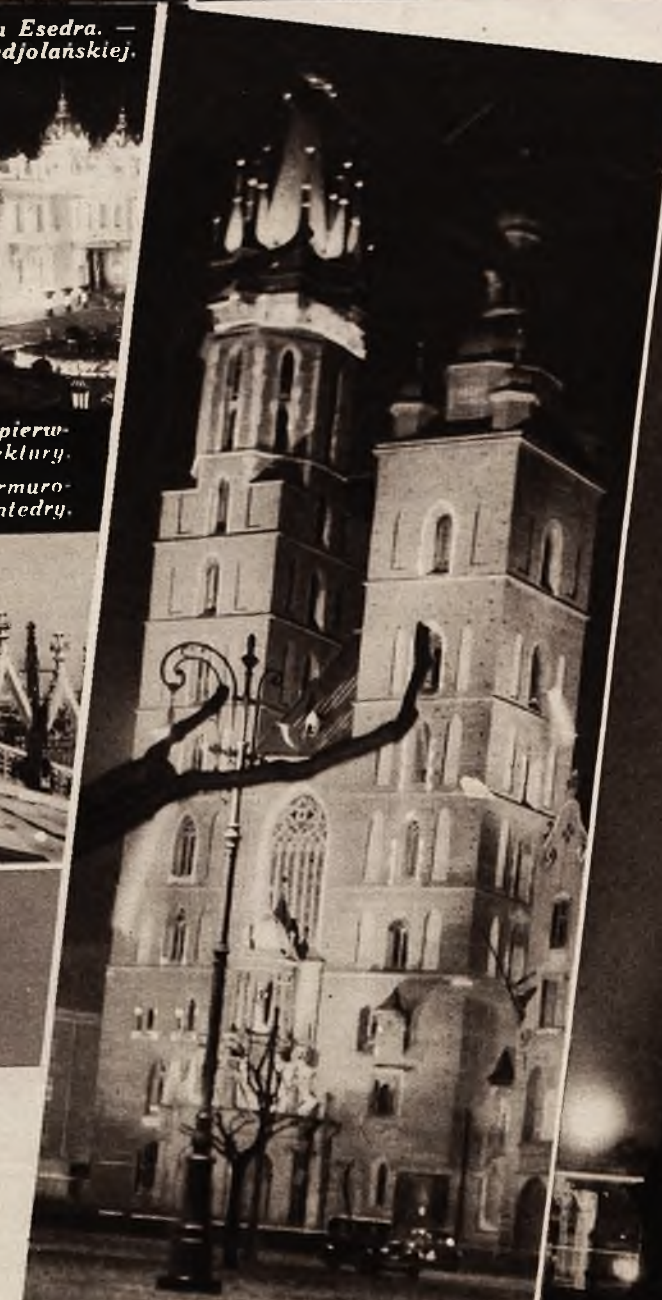
*Ornamentyka saskiej epoki w pałacu Brühla (gmach MSZ). w Warszawie.*





*Powyżej: Kasyno w Monte Carlo pierwsze rozpoczęło iluminację architektury.*

*Poniżej: Reflektory wśród marmurowych koronek mediolańskiej katedry.*



*Smukłość marjackich wieżyc.*



*Na lewo: Wieża Westminsteru.*

# ŚWIATŁA WIELKIEGO MIASTA.

Potęgę i czar światła elektrycznego wykorzystały dla swoich celów na ulicach wielkich miast najpierw przemysł i handel. Po wprowadzeniu neonów wygląd nocny stolic świata zmienił się w sposób niebywały. Skoro tylko mrok zapadnie, ulice wielkich miast przybierają barwny, świąteczny wygląd. Szare, zimne mury nabierają rumieńców życia, jak zalotna kobieta, żądna poklasku wielbicieli.

Względy turystyczne nakłoniły w ostatnich latach zarządy miast o zabytkowym charakterze, do podkreślania i akcentowania blaskiem reflektorów piękna architektury. Na europejskim kontynencie po raz pierwszy zastosowano w nowoczesnym stylu, oświetlenie fasady gmachu w kasynie w Monte Carlo. Ukrytych dyskretnie reflektorów użyto nietylko dla wydobycia ornamentalnego bogactwa fasady, lecz również poustawiano światła wśród kwiatów, złożonego z najrzadszych roślin kwietnika, tworząc w ten sposób feeryczny efekt.

Mistrzostwo w dziedzinie oświetlenia miasta oddawna zdobył Paryż, słusznie zwany „La ville lumineuse". W tej dziedzinie postępował zarząd miasta Paryża z niezwykłą rozrzutnością. Kilometrowe perspektywy ulic zalane są codziennie blaskiem rozlicznych świateł. Wieża Eiffla przeistaczała się raz w fontannę świetlną, raz w termometr, to znowu w zegar, lub wreszcie słup reklamowy. Również Bruksela, w sposób niezwykle artystyczny umiała odsłonić romantyczne piękno tumu św. Guduli, czy królewskiego placu. Rzym, pielęgnujący od zamierzchłych czasów tradycję iluminacji, umie również nadać elektrycznem światłem nowy, patetyczny akcent pięknu Wiecznego Miasta, tak bogatego w zabytki architektury, rzeźby, pomniki i wodotryski.

Technika oświetlenia architektury miast rozwinęła się wysoko. Na czele działu iluminacji stoją dziś artyści w swym fachu, wywodzący się z za kulis teatrów. Plan oświetlenia miasta przemyślany i opracowany jest szczegółowo. Zamiast dawnego prymitywnego, jednoplanowego oświetlania fasad, oślepiającym blaskiem, ustawionych frontalnie baterji reflektorów — nowoczesny iluminator rozdziela i zabarwia światła, zmieniając ich natężenie, odpowiednio do walorów architektonicznych, — pozostawiając zawsze grę świateł i cieni. Na załączonej reprodukcji rzymskiego wodotrysku widzimy, iż zamiast dawnego oświetlenia słupa wody w fontannie, podkreślono światłem jedynie fragment rzeźby wodotrysku, pozostawiając strugi wody w cieniu.

Tonacje barwne bywają zmieniane odpowiednio do materjału. Więc innym kolorem oświetla się mur ceglany, innym bronz, innym marmur, a innym spatynowany dach.

Z fasady gmachu wydobywa się najciekawsze fragmenty architektury, podkreślając natężeniem światła jedynie najistotniejsze jej walory.

Baterje różnokolorowych reflektorów stają się paletą elektryczną w ręku wytrawnego i subtelnego technika oświetleniowego.

Ludzie wielkich miast przechodzą obojętnie w dzień mimo bogactw i piękna, ukrytego w starej architekturze miast. Wielu, z niesłychanem zdziwieniem, spogląda w nocy na oświetlone gmachy publiczne i kościoły, dziwiąc się, iż nigdy za dnia nie dostrzegli ich piękna.

Zapomniana sztuka odradza się nocą i promieniuje na nowo potęgą uroku, ukrytego od wieków piękna w wielkich dziełach sztuki.

# SZKOŁA IKARÓW



*Najnowszy typ samolotu stratosferycznego zbudowanego dla szkoły w Monte Celio.*

Jak wykazała wojna abisyńska, samoloty w przyszłych zapasach zbrojnych między narodami będą grały jedną z głównych ról. Już podczas wojny światowej dało się lotnictwo dobrze we znaki żołnierzom. Nic też dziwnego, że wszystkie państwa kładą wielki nacisk na rozwój techniki lotniczej i starają się przygotować duże zastępy ludzi, obznajomionych z powietrzem. Bez wielkiej przesady można powiedzieć, że przyszłość mocarstw leży w powietrzu oraz, że wielka ilość ludzi... żyje z powietrza! A zresztą stratosfera weszła obecnie w modę.

Od wyczynu belgijskiego uczonego prof. Piccarda, który uczynił pierwszy lot w regjony otaczające ziemię, zainteresowanie ogólne skupiło się na stratosferze. Nic też dziwnego, że dzień za dniem i krok za krokiem, coraz więcej osób stara się zdobyć rekordy stratosferyczne, chcąc zbadać tę nową przestrzeń, która według zdania znawców, stanowi przyszłą drogę światowej komunikacji.

Właśnie niedawno temu słynny pilot amerykański o jednym oku, Wiley Post, dotarł do wysokości 52.800 stóp t. j. tam, gdzie dotychczas nikt jeszcze nie doleciał z istot żyjących. Stwierdził on, że w regjonach tych jest nad wyraz zimno, a ściśle mówiąc, panuje tam mróz 56 stopni C.

Pierwszym krajem jednak, który wśród wszystkich narodów świata wykazał największy entuzjazm dla aeronautyki tworząc pierwszą szkołę dla lotów stratosferycznych były Włochy. Włoski minister lotnictwa otworzył niedawno temu konkurs, tworząc nagrodę dla konstruktora najodpowiedniejszego samolotu do lotów stratosferycznych. Ta pierwsza stratosferyczna szkoła została stworzona przez rząd włoski na Monte Celio w okolicach Rzymu. Stanowi ona prawdziwy sztab generalny włoskiej awjacji. Nic też dziwnego, że każdy sekret sukcesu stratosferycznego chowany jest tam w ścisłej tajemnicy. Tam też przygotowują się wszystkie motory za pomocą których włoscy lotnicy dokonywują swych lotów. Kierownikiem tej placówki na Monte Celio jest młody jednak bardzo już ceniony znawca stratosfery płk. Biondi. Zarządza on w całości aerodronem, nie miesza się jednak zupełnie do spraw szkoły stratosferycznej, która w całym świecie jest pierwszą tego rodzaju. Szkoła znajduje się pod rozkazami mjr. Pezzi, słynnego lotnika włoskiego, który przez dłuższy czas posiadał rekord wysokości.

W szkole pracuje w całości trzech instruktorów: mjr. Pezzi, kpt. Tondi i sierż. Gugliotta. Odbywają oni codziennie loty i przeciętna wysokość, do której docierają wynosi 36.000 stóp. Za każdym razem trenują się, aby coraz to dłużej móc przebywać w regjonach stratosferycznych i przyzwyczaić się do odmiennych warunków. Trzeba bowiem wiedzieć, że tylko bardzo dokładne przygotowanie do lotu i nad wyraz intensywny trening mogą zapewnić sukces. Zanim też lotnik uda się w swą podróż, spędza on dużo czasu w t. zw. „pokoju stratosferycznym", aby przyzwyczaić się do wysokiego ciśnienia, któremu będą podlegać. Bez tych bowiem przygotowań, dostawszy się na taką

*Na lewo: Światowy rekord wysokości dla samolotów ustanowił znany lotnik amerykański Wiley Post, który dotarł do wysokości 52.000 stóp*



wysokość, straciłby bezwzględnie przytomność i zakończyłby tragicznie życie.

Celem szkoły na Monte Celio nie jest bynajmniej uzyskiwanie nowych rekordów wysokości, lecz chodzi tu o przygotowanie się do spędzania coraz dłuższego czasu na wysokości 36.000 stóp. Po każdym takim locie, lekarz szkoły sprawdza stan zdrowia lotników, a ekspert techniczny czyni to samo w odniesieniu do instrumentów technicznych, motoru i t. d. Bada się również urządzenie radjowe. Wszystkie te badania przeprowadzane są celem ulepszania narzędzi specjalnie stworzonych do tych celów, co, można łatwo to zrozumieć, nie przychodzi bez trudu...

Lotnicy stratosferyczni muszą loty swe odbywać zarówno w dobrą, jak i złą pogodę. Warunki meteorologiczne nie wchodzą w grę na wysokości 36.000 stóp, gdyż panuje tam zawsze prawie piękna i „przejrzysta“ pogoda.

Przed lotem uczestnicy wyprawy stratosferycznej poddają się badaniu pulsów, ciśnienia krwi, jako też są ważeni bardzo szczegółowo. Lecz również i aparat którym lotnicy polecą poddaje się badaniom. Nakoniec lotnicy ubierają się w specjalne ubranie, składające się z nadwyraz grubej futrzanej odzieży, przyczem butla z tlenem przytwierdzona jest do pleców ,a hełm pokryty skórą stanowi ich nakrycie głowy. Rurka idąca z butli z tlenem łączy się z inną rurką, która przeprowadzona jest do hełmu okrywającego również i usta.

Wkońcu lotnicy startują. Aparat stratosferyczny toczy się krótki kawałek drogi, a potem prędko wznosi się w górę. Podczas lotu ani na chwilę nawet nie następuje zerwanie kontaktu między lotnikami unoszącymi się w powietrzu, a osobami pozostałymi w aerodromie. Pilot bowiem stale komunikuje się ze swymi towarzyszami za pomocą specjalnego radjotelefonu donosząc o wszystkich swych spostrzeżeniach, o warunkach atmosferycznych, jako też funkcjonowaniu aparatu. Każde słowo, wypowiedziane przez pilota, zapisywane jest na dole przez stenografów, gdyż każde spostrzeżenie na tych wysokościach jest nadzwyczaj cenne i może się w przyszłości przydać.

Obecnie loty stratosferyczne nie trwają zwykle dłużej wraz z podnoszeniem się i opadaniem nad jedną godzinę. Oczywiście, że uczestnik wyprawy opuściwszy się na ziemię, jest nadzwyczajnie zmęczony i nie może prędko przyjść do siebie. Zjawia się zaraz u niego lekarz, który dokładnie go bada. Jest rzeczą nad wyraz ciekawą, że lotnicy stratosferyczni tracą dosyć dużo na wadze po przebyciu takiego lotu. Mimo to trzej lotnicy na Monte Celio tak bardzo są przyzwyczajeni do tego rodzaju wyczynów, że nawet najbardziej wyczerpujący lot nie szkodzi im fizycznie. Lecz i samym aparatem zajmują się inżynierowie przez skrupulatne badanie notatek, z których można dużo się nauczyć.

Osoby, stojące poza światem nielicznych „specjalistów“ od stratosfery, słyszą bardzo mało o rezultatach lotów zorganizowanych na Monte Celio. Władze miejscowe nie robią jednak tajemnicy z okoliczności, że specjalnie zbudowane w tym celu motory będą mogły rozwinąć szybkość przewyższającą 430 mil na godzinę. O szybkości tej da wyobrażenie okoliczność, że podróż z Rzymu do Londynu trwałaby w tym wypadku jedynie 2 godziny, łącznie ze wznoszeniem się i lądowaniem.

Według ogólnego zdania fachowców, chwila praktycznego rozwiązania tego problemu nie jest już tak bardzo oddalona. Jeden z najbardziej miarodajnych ekspertów włoskich w tej dziedzinie twierdzi, że w całem zagadnieniu istnieją trzy czynniki, które należy wziąć pod uwagę. Pierwszym jest oczywiście sam człowiek. Na wysokości 36 tysięcy stóp oddychanie normalne jest rzeczą niemożliwą, podobnie jak pod wodą. Dlatego też należy stworzyć wszelkie możliwe warunki umożliwiające człowiekowi spędzanie dłuższego czasu w tych regjonach. Posiadamy obecnie już dużo danych, odnoszących się do wzajemnej zależności człowieka od atmosfery. Obecnie przystępuje się do zużytkowania tych doświadczeń.

Drugim czynnikiem w lotach stratosferycznych stanowi motor. Wobec tego, że panujące tam stosunki atmosferyczne zupełnie odbiegają od ziemskich, również i motor musi być specjalnie dostosowany. Zwłaszcza połączenie powietrza z benzyną tworzące siłę poruszającą, wymaga specjalnego motoru.

Trzecim wkońcu czynnikiem jest zapalanie motoru, które w tych warunkach musi być zupełnie inne jak to, które wystarcza nam na ziemi.

Pierwsza szkoła stratosferyczna na świecie jest zapowiedzią, że wszystkie problemy łączące się z praktycznem wykorzystaniem stratosfery zostaną wkrótce, przynajmniej w części, rozwiązane.

Zdaje się, że niezadługo karykatury pojawiające się w pierwszych czasach samolotu, kiedy słynny francuski lotnik Blériot i Amerykanin Wright stawiali swe pierwsze kroki... w powietrzu, stały się rzeczywistością. Przedstawiały one przestworza niebieskie „zaludnione“ różnemi samolotami i balonami któremi prywatni ludzie unoszą się jadąc za interesami czy też dla rozrywki. Obecnie karykatura dodała do tego obrazu jeszcze jedną osobę, w postaci policjanta, który również znajdując się w samolocie reguluje swoją pałeczką ruch na szlakach niebieskich, gdyż lada chwila grozi powietrznym pojazdom katastrofa zderzenia! Tak więc i niebo nawet straci swoją olimpijską powagę i ciszę, stając się równie hałaśliwem jak dzisiejsza ulica.

*J.*



*Poniżej: Jeden ze studjujących w szkole stratosferycznej w Monte Celio przygotowuje się do lotu „szkolnego“ w stratosferę.*



*Prof. Piccard ląduje w swym balonie we Włoszech, w okolicy Mantui.*



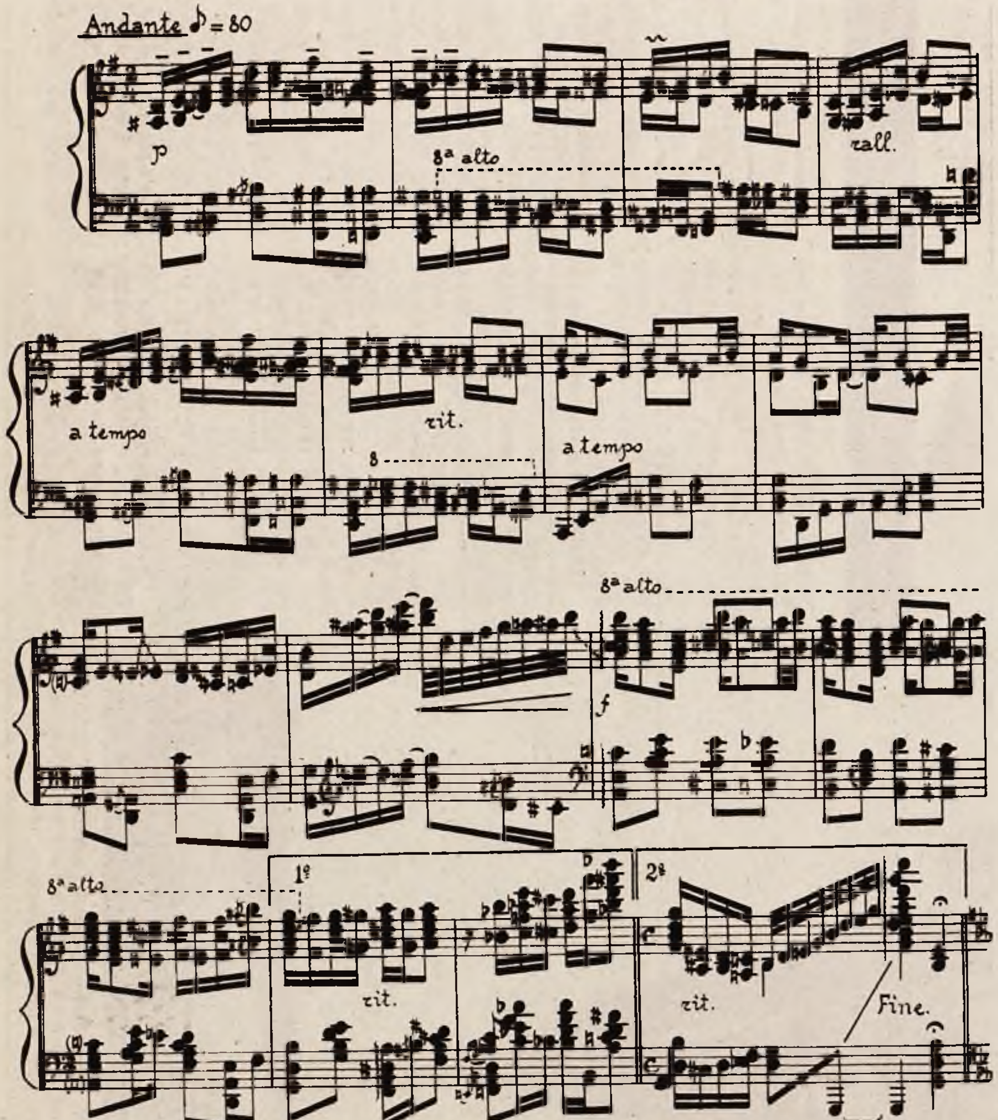
*Balon sowiecki, kierowany przez Prokofiewa, wzbił się w r. 1933 na wysokość 18.600 m, bijąc tem samem rekord ustalony poprzednio przez prof. Piccarda.*

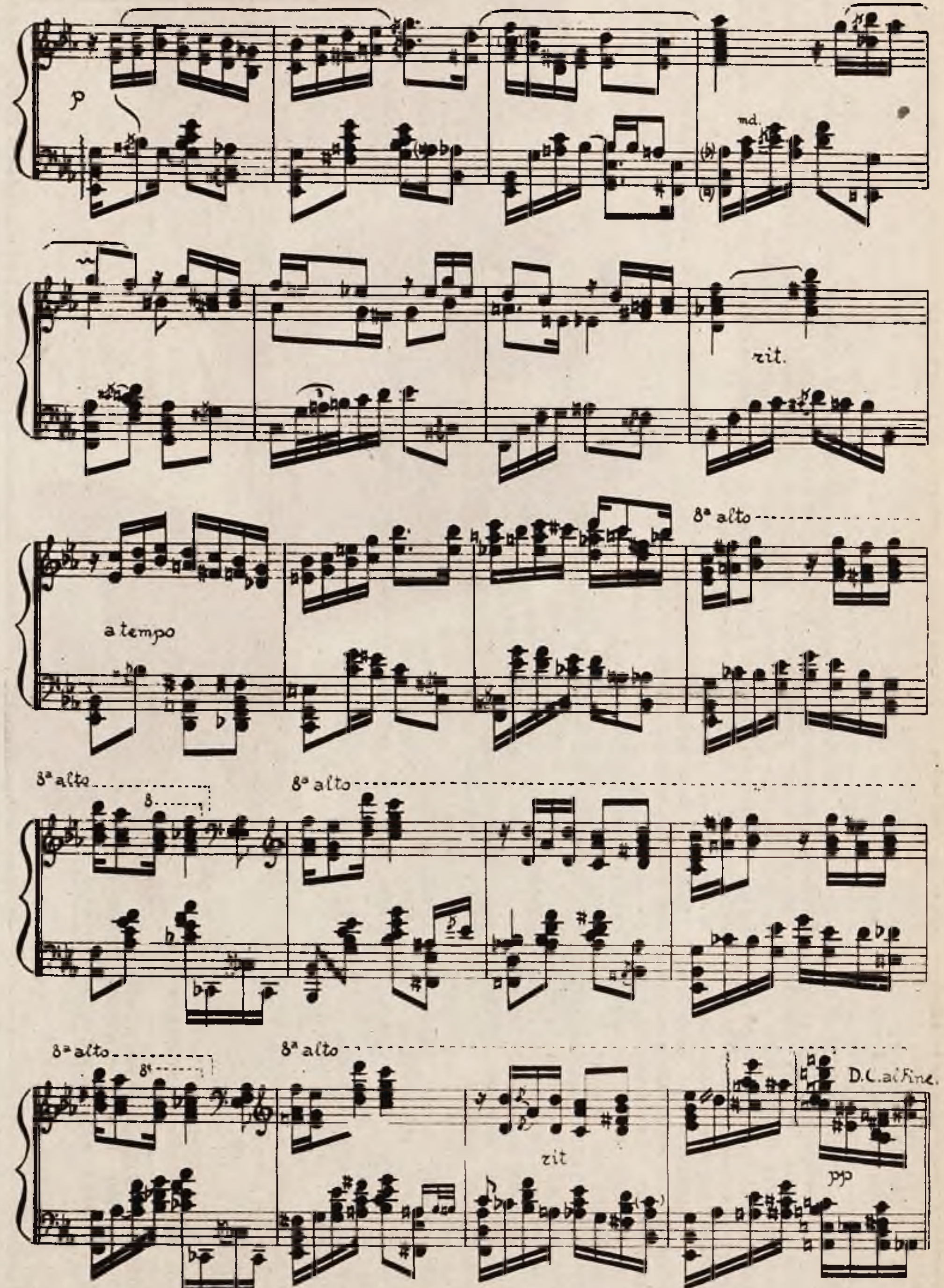
**Nasz przebój muzyczny.**

# TANGO

**Oryginalny utwór argentyński, poświęcony Jerzemu Lalewiczowi (Buenos Aires).**

**Muzyka: HUGO CARLOS DASSO.**



# W OJCZYŹNIE KANGURA



*Na lewo: Najbardziej charakterystycznem zwierzęciem dla Australji jest kangur, który w okolicy Koroit w Quamby żyje w olbrzymich gromadach.*



*Na prawo: Miasto Sydnej łączy ze wspaniałą przyrodą i pięknemi ogrodami cechy współczesnego miasta.*

Nie jest przesadą, że w całym świecie można znaleźć pamiątki polskie i ślad polskiej pracy. Oto prasa całego świata rozpisuje się o olbrzymim spadku, sięgającym dziesiątek miljonów funtów szterlingów, a pozostawionym przez Edmunda hr. Strzeleckiego, który bodaj, że pierwszy wszerz i wzdłuż przemierzył Australję w połowie XIX wieku i zbadaną przez siebie górę nazwał górą Kościuszki — Mount Kościuszko. Mieszkając stale w Anglji zyskał sobie zasłużoną sławę wybitnego geografa. W czasie kiedy rodak nasz przebywał w Australji, kraj ten był w całem tego słowa znaczeniu dzikim. Lecz jakżeż zmieniły się od tego czasu stosunki!

Chociaż hr. Strzelecki na stałe zespolił imię naszego bohatera z piątą częścią świata, mało o niej mimo to wiemy, poza tem, że Australijczycy to wybitni sportowcy, że jabłka australskie są doskonałe, ale dużo kosztują i kilka innych szczegółów. — Natomiast Australczycy, gdy słyszą o Polsce powiadają: Oh, yes! to ojczyzna Paderewskiego i Kiepury. Paderewski jest przez nich ogromnie szanowany. Kiepurę zaś wszyscy słyszeli w jego filmach i żywią nadzieję, że przyjedzie do nich osobiście, jest przecież jeszcze w początkach swej pięknej karjery. Jak wiadomo Paderewski był trzy razy w Australji. Gdy wybuchła wielka Wojna zwrócił się do Nellie Melby, największej śpiewaczki australijskiej, by dała koncert na rzecz jego ukochanej Ojczyzny. Melba przychyliła się do tej prośby i dochód z jednego jej koncertu w Sydney wyniósł 20.000 f. szter. Pozatem 100.000 f. szter. uzyskano w całym kraju drogą zbiórki i wysłano do Polski wraz z olbrzymią ilością skrzyń z ubraniami, by przyodziać i wspomóc zrujnowaną ludność.

Gdy ostatnim razem odwiedziłam Australję, dzieci prosiły mnie, bym im opowiedziała moje przygody z niedźwiedziami w Krakowie, a gdym się usprawiedliwiała, że nie widziałam ani jednego niedźwiedzia, straciły do mnie zaufanie. Tak samo w Polsce pytano mnie: czy dużo kangurów chodzi po ulicach Sydney? Musiałem ze wstydem wyznać, że ani jeden. W ten sposób straciłam zaufanie na dwu przeciwległych końcach świata.

Australja obejmująca powierzchnię 3.000.000 mil kw. posiada tylko 7.000.000 mieszkańców. Podzielona jest na 6 stanów, a każdy z nich posiada swój własny rząd, wszystkie zaś stany podlegają Rządowi Związkowemu. W ten sposób kraj narażony jest na szalone wydatki administracyjne.

Klimat tego kraju jest bardzo zdrowy i łączy wiele właściwości klimatu tropikalnego i wysokogórskiego. Dzięki temu odsetek śmiertelności jest tutaj najniższy w świecie.

Wszystkim wiadomo, że Australja jest krajem największych na świecie hodowli owiec i że stada ich obejmują ponad 100 miljonów sztuk. Wełnę z tych owiec importuje się do Gdyni i przetwarza już w Polsce na materjały zimowe.

Nauczanie w Australji jest bezpłatne: można się też uczyć języków, malarstwa, gotowania i to za darmo.

Australja góruje nieraz nad niektóremi krajami Europy czy Ameryki: posiada doskonałe drogi samochodowe, to też w użyciu jest przeszło 1 i pół miljona samochodów na 7.000.000 miljonów mieszkańców. — Nietylko komunikacja ladowa, ale też lotnictwo w ostatnich latach poczyniło wielkie postępy. Zawody lotnicze Anglja—Australja w październiku 1934 r. były wielką podnietą dla australskiego lotnictwa. Nad całym kontynentem istnieje gęsta sieć lotniczych linij pocztowych i pasażerskich, a także wielu zamożnych obywateli posiada własne samoloty. Jeszcze niewiele lat temu osadnicy żyli „out back". Specjalne to określenie oznacza tyle co pozostawać wtyle: można było jechać całemi dniami wozem lub samochodem i nie napotkać na żaden ślad człowieka, na żadną wioskę, ani osiedle. Osadnicy pocztę dostawali raz na 2 lub 3 tygodnie, teraz zaś otrzymują ją 2—3 razy w tygodniu. Pozatem egzystencję każdego osadnika urozmaica radjo, które jest ważnym łącznikiem między ośrodkami cywilizacji w wielkich miastach a jej najodleglejszemi placówkami.

Jeżeli chodzi o usposobienie Australczyków, to są oni wolnomyślni, serdeczni i bardzo gościnni. — Uwielbiają słońce, uprawiają wszystkie rodzaje sportów, jak: cricket, football, tennis (wszyscy słyszeli zapewne o Crawfordzie, jednym z najlepszych tennisistów świata), pływanie, wioślarkę, lotnictwo i t. d. W wszystkich



*Australja jest pod względem pieknych krajobrazów jednym z najciekawszych krajów świata. Na zdjęciu słynny „Łuk Charlotty" w górach australskich.*



*Olbrzymi most jednołukowy jest chlubą miasta Sydney, zadziwiając widza swoją techniką.*

gałęziach sportu konkurują z całym światem. W zimie (lipiec, sierpień) uprawiają sporty zimowe na stokach Góry Kościuszko (nazwanej tak na cześć naszego bohatera), uprawiając narciarstwo i saneczkowanie niczem w Zakopanem.

Trudno sobie wyobrazić jak piękne są wielkie australskie miasta. Canberra, stolica Związku Stanów Australijskich jest miastem całkiem nowem, bo zbudowanem zaledwie parę lat temu. Jest ślicznie położona i upłynie wiele lat zanim się stanie hałaśliwą stolicą. Mam zresztą wrażenie, że miasta Australji przypominają raczej miasta amerykańskie, niż angielskie, budowane są bowiem na wielką skalę, widzi się dużo drapaczów chmur, a domy towarowe są olbrzymie. Uważam Sydney za najpiękniej położoną stolicę świata, a leży ona nad zatoką tak uroczą, że śmiało można ją porównać z Neapolem lub Rio de Janeiro. Słynie ono także z szerokiego życia. Dokoła Sydney istnieją cudowne plaże i wszyscy używają kąpieli w falach morskich, przyczem samoloty ostrzegają kąpiących się przed nadciągającemi rekinami. Wielki most nad zatoką jest największym jednołukowym mostem na świecie, budowano go 5 lat i kosztował 10 miljonów f. szt., ale nie można też żyć w jego pobliżu, nie podziwiając piękna jego rysunku i cudu pracy dokonanej ludzką ręką.

Szkolnictwo w Australji obejmuje: pierwszy stopień przedszkola, następnie szkołę powszechną, a wkońcu wiele rodzajów wstępnych szkół zawodowych, niższych i średnich. Oprócz tego są szkoły wyższe, będące wstępem do wykształcenia uniwersyteckiego. Jak Australczycy kochają naukę i sztukę, tego niech dowodem będzie widniejący na wielu budynkach napis: „Vita brevis — Ars longa".

Jeżeli chodzi o sytuację ekonomiczną, to Australja w stosunku do zaludnienia zajmuje



*Jeden z najpiękniejszych widoków jakie można ujrzeć w Australji roztacza się poniżej Sublime Point.*

zaszczytne miejsce na rynku światowym. Powrót Australji do dawniejszego dobrobytu zależy od przełamania kryzysu światowego, a przedewszystkiem od powrotu do przedkryzysowych cen wełny, pszenicy i t. d., które stanowią „gros" eksportu Australji. Można wreszcie powiedzieć, że Australja przeszła już najgorszy okres depresji, w ubiegłym roku warunki handlowe, sądząc ze znacznej zwyżki, bardzo się poprawiły.

Australja jest niejako klasycznym przykładem jak angielska potęga kolonjalna wciąż nowe zagarnia tereny i dostosowuje się do miejscowych warunków tworząc silne, dobrze scementowane podłoże do dalszego swego rozwoju. Gdy Anglicy zaczęli licznie napływać do Australji, zwabieni bogactwem tego kraju, licznemi kopalniami złota i łagodnym klimatem, zastali wprawdzie wspaniały materjał do eksploatacji, wszystko jednak czekało dopiero na zorganizowanie według z góry powziętego planu. Po kilkudziesięciu latach nad wyraz realnej pracy, Anglicy zdołali z dzikiego kraju stworzyć nową ojczyznę, która wchłonęła w siebie wszystkie staroangielskie charakterystyczne cechy. W Australji zapanowała typowa angielska demokracja, pozwalająca każdej jednostce rozwijać się według swoich osobistych inklinacyj. Zupełna tolerancja religijna przyczyniła się znacznie do uniknięcia w Australji wszelkich starć, tak często spotykanych w państwach europejskich, które olbrzymie siły nieraz traciły na te walki. W miastach australskich spotykamy typowo angielskie budowle o gotyckich linjach, przypominające stare siedziby, rozsiane po trzech zjednoczonych królestwach i tonące w zieleni.

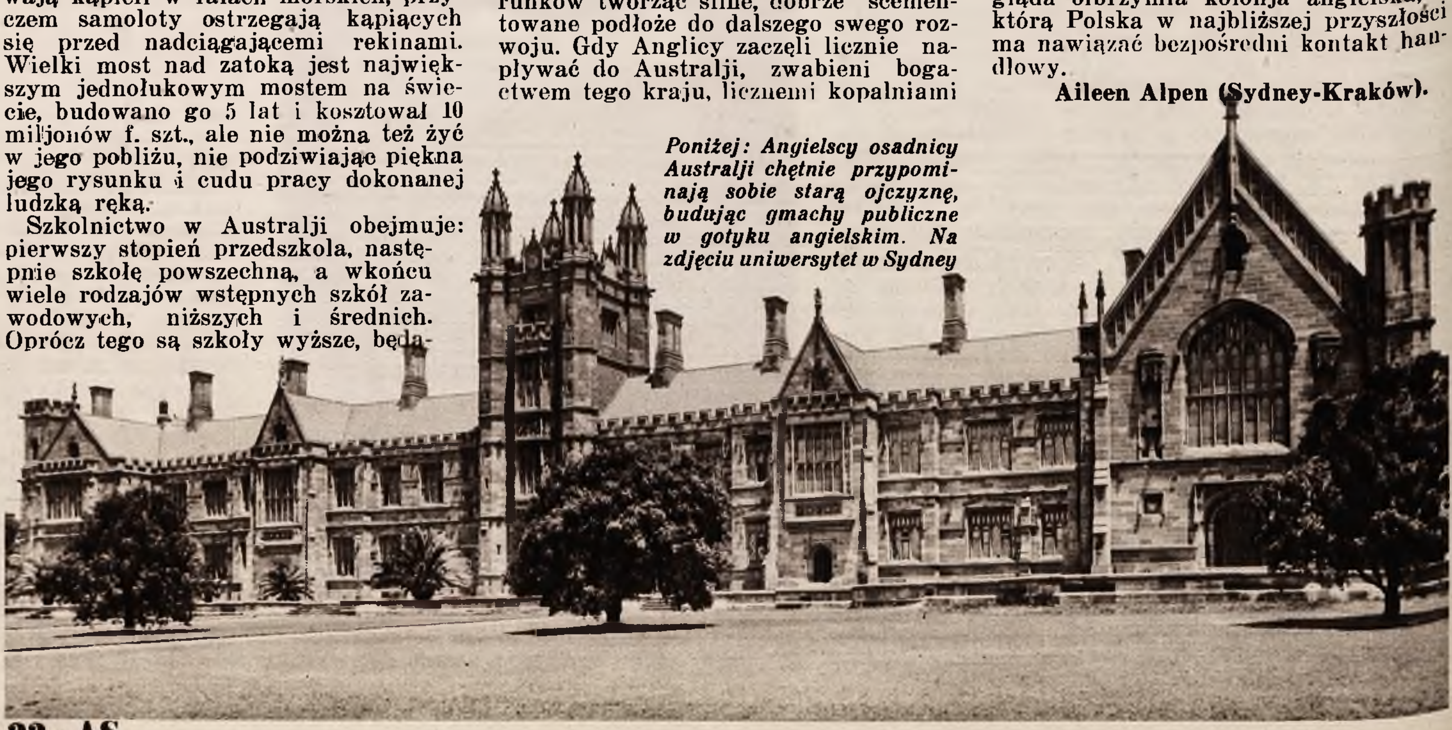
Istotnie kraj ten może być nazwany najpiękniejszą częścią świata. Miasta posiadają raczej charakter amerykański, chociaż i one wyrobiły sobie odmienny nieco styl, liczący się z miejscowemi warunkami i charakterem ludzi.

Jak wspomnieliśmy na wstępie, Australja niezrozumiałą jest krainą dla pojęć Polaka. A jednak i tam pierwszym jej wielkim obywatelem był Polak! Tylokrotnie powtarzający się w dziejach Polski tragizm, ujawnił się i w tym wypadku. Odkrycia kopalni złota, wielkie zasługi naukowe około Australji, jakie położył Paweł Edmund hr. Strzelecki w połowie XIX wieku, na nic się nie przydały dla Polski. Obce ręce skorzystały ze skarbów pozostawionych przez wielkiego uczonego, a skarby te, choćbyśmy tylko je obliczali w przybliżeniu, są tak olbrzymie, że wystarczyłyby na pokrycie budżetu państwa polskiego. Przykład nieproduktywnych dla społeczeństwa zdobyczy Strzeleckiego, powinien Polaków nauczyć na przyszłość korzystania z tego wszystkiego, co którykolwiek z nich zdobędzie.

Australja jest krajem niezmiernie bogatym, posiada ustabilizowany przemysł, wielką obfitość pierwszorzędnych płodów naturalnych, a przedewszystkiem obywateli, którzy dla miłości ojczyzny dzielnie przetrwali kryzys. Tak oto w krótkich zarysach wygląda olbrzymia kolonja angielska, z którą Polska w najbliższej przyszłości ma nawiązać bezpośredni kontakt handlowy.

**Aileen Alpen (Sydney-Kraków).**

*Poniżej: Angielscy osadnicy Australji chętnie przypominają sobie starą ojczyznę, budując gmachy publiczne w gotyku angielskim. Na zdjęciu uniwersytet w Sydney*



# Dzieci Szczęścia

**Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.**

*11-ty ODCINEK.*

**J. KESSEL**
**POWIEŚĆ**
**ILUSTR. A. ŻMUDA.**

— Lepiej, niech pan już pojedzie do domu i przywiezie portfel — dodał Adrjan.

— A no, trzeba będzie tak zrobić...

I Le Droz wyszedł na ulicę, nadarmo łamiąc sobie głowę, gdzieby znaleźć kogoś, ktoby mu pieniędzy pożyczył. Rozpacz ogarniała go już, kiedy nagle posłyszał ordynarny głos, krzyczący te słowa:

— Złaź, jak ci mówię! — Nawet pięciuset metrów nie pojadę z tobą — rozumiesz, ty salcesonie!

Dziennikarz ruszył w kierunku głosu i przy chwiejnem świetle latarni nadbrzeżnej, w taksówce, stojącej na czele całego szeregu dorożek, spostrzegł ową cudzoziemkę, o pięknych ramionach, za którą nibyto wyszedł z restauracji.

— Jakim prawem odzywasz się w ten sposób do kobiety! — krzyknął na szofera. — Jakim prawem odmawiasz, by wieźć ją, dokąd ci każe!

— Pilnuj swoich interesów — brzmiała odpowiedź. — Ja tę małpę mam —

Lecz szofer nie zdołał dokończyć obelgi — umilkł pod ciosem pięści dziennikarza.

Pogarda, którą Le Droz żywił dla kobiet, kiedy chodziło o sentyment, była szczera i głęboka nie przeszkadzało mu to jednak mieć kultu dla należnego im zewnętrznego szacunku. Kult ten wchodził w zakres koncepcji, jaką urobił sobie o świecie i o życiu — koncepcji naiwnej i cynicznej zarazem, wolnej od wszelkich więzów moralnych — lecz zamkniętej w niewzruszonych i surowych prawidłach, niby kodeks rycerski. W tej chwili skarcił szofera, nietyle ujmując się za nieznajomą, ile za to, iż naruszył jedno z przykazań, które sam ustanowił na swój użytek.

Jednakże wściekłość nie pozwoliła mu wymierzyć należycie odległości. Zamiast ugodzić w brodę — jak to było jego zwyczajem w podobnych okolicznościach — uderzył pięścią w policzek szofera. Siła uderzenia wystarczyła, by zwalić z nóg tego ostatniego — nie ogłuszyła go jednak dostatecznie. Pobity podniósł się i klnąc okropnymi wyrazami, zamierzył się na dziennikarza korbą od motoru, którą pochwycił. Wtedy już Le Droz poczuł, że pali go wprost żądza krwi. Rzucił się na przeciwnika ,wyrwał mu mordercze narzędzie z ręki — powalił go raz jeszcze na ziemię — chwycił za gardło i począł tłuc łbem chłopa o bruk.

Szczęściem dla ofiary — i szczęściem dla Le Droza samego — dwóch szoferów nadbiegło na pomoc koledze i zaatakowało dziennikarza. Puścił więc delikwenta, zerwał się — a ujrzawszy przed sobą nowych przeciwników, z których jeden był kolosalnego wzrostu i tuszy, poczuł dziką radość zalewającą mu serce. Teraz już bił się dla samej rozkoszy walki — jak prawdziwy barbarzyńca. Każdy skurcz i rozprężenie muskułów, każde zderzenie kości z ciałem nieprzyjaciela dawały mu satysfakcję, jaką odczuwa drwal, kiedy pod siekierą w mocarnej jego dłoni lecą trzaski z drzewa. W pewnej chwili pierś ogromnego szofera zadzwoniła głucho pod jego ciosem i kolos zachwiał się. Drugi, otrzymawszy uderzenie, wymierzone z całych sił w szczękę, zwalił się na ziemię. Nadbiegli jeszcze inni szoferzy, a ten, który dał powód do bójki, chwiejąc się na nogach, skierował się do wozu — poszukał w nim chwilę i w ręku jego zabłysła lufa rewolweru...

Gdy to się działo na dworze, wewnątrz restauracji Vivant mówił do Roberty:

— Zobaczysz — Le Droz wróci i przyprowadzi nam tutaj tę kobietę. — On jest cudowny!

W tej chwili, strzelec Adrjan prześliznął się do jego stolika i szepnął:

— Pan Le Droz wdał się w bijatykę przed bramą...

Wtedy po sali poszedł krzyk, niby głos surmy, wołającej do boju — radosny i szalony — i odbił się o szacowne lamperje na ścianach:

— En avant, Vivant — Ivan Vivant en avant!

I kiedy Le Droz zbierał wszystkie siły, by poczynić jak najwięcej spustoszeń, nim przyjdzie mu ulec ostatecznie przemocy — coś, jak nawałnica, zwaliło się na tyły atakującej go braci szoferskiej. To Vivant wpadał na karki przeciwników. — Zdawał się dwoić — troić — być jednocześnie wszędzie. Nie miał on wprawdzie druzgocącej siły Le Droza, lecz niezwykła jego zwinność czyniła go taksamo niebezpiecznym. Walczył tak, jak tańczy płomień — i jak płomień siał spustoszenie wokoło. Wyczerpywał przeciwnika szybkością niespodziewanych ataków — puszczał się na akrobatyczne finty — uskakiwał przed ciosem nieprawdopodobnymi wprost susami. Tu podstawił jednemu nogę, tu skoczył drugiemu znienacka na kark, tam uderzył głową w brzuch trzeciego — jednem słowem, nie przebierał w sposobach. I śmiał się przytem w głos i wołał:

— Trzymaj się Le Droz! — En avant, Vivant! — Tyś ich zaczął, a ja ich dokończę!

Dziennikarz odsapnął już — nabrał na nowo tchu w swą szeroką pierś boksera i odkrzyknął:

— Zostaw mi ich teraz!

Bójka ta mogła przybrać niebezpieczne rozmiary. Lecz nagle i Le Droz i Vivant i szoferzy poczuli, iż ktoś chwyta ich za ramiona — wygina je w tył — i miażdży. Po tym specyficznym chwycie, dziennikarz poznał, że to policja wmieszała się w sprawę. — Doświadczenie paroletnie mówiło mu, że w tych wypadkach nie należy stawiać oporu władzy...

Niedługo dwaj przyjaciele i ich przeciwnicy — tudzież nieznajoma, Roberta i strzelec Adrjan (ci ostatni w charakterze świadków) znaleźli się w najbliższym posterunku policji.

— Kto zaczął? — zapytał komendant posterunku, będący w służbie tej nocy.

— Ten duży, we fraku — zawołali zgodnym chórem szoferzy. — Proszę patrzeć, jak nas urządził!

I dalejże pokazywać: ten oko przymknięte guzem — ten obrzmiały krwawiący policzek — tamten brodę, znaczoną na granatowo siniakiem.

— Sam jeden narobił tego wszystkiego? — przerwał z powątpiewaniem komendant.

— Tamten drugi, mały, nadleciał później — oświadczył zwalisty szofer — ale ten duży drab zaczął tłuc pierwszy. — Rany! Jak tłukł! — Chyba jakiś szampion boksu — czy co?

Ten hołd — w szczerych, acz brutalnych wyrazach — złożony jego sile, uśmierzył wściekłość dziennikarza. Le Droz bowiem dumniejszy był ze swych muskułów, niż ze swego talentu.

— Przyznaję, że uderzyłem pierwszy — rzekł z uśmiechem. — Ale jeden z tych ludzi znieważył ordynarnie tę panią i odmówił zawiezienia jej, dokąd mu kazała. Skarciłem go za to. Wtedy tamci rzucili się na mnie — musiałem się bronić.

Adrjan, choć nie był obecny przy początku bójki, potwierdził skwapliwie słowa dziennikarza.

— Ale to wszystko nie usprawiedliwia jeszcze takich jatek na publicznej drodze! — zastrzegł się komendant posterunku.

Szoferzy zaczęli podśmiechiwać się;

najmocniej uszkodzony oświadczył, iż wnosi skargę przeciw Le Drozowi.

— A teraz — zaczął komendant — któryż to z was odmówił tej pani, kiedy kazała mu się wieźć? Ten, który to zrobił, straci pozwolenie jazdy.

Le Droz ujrzał, jak strach wykrzywia, już i tak do niepoznania zniekształcone oblicze swej pierwszej ofiary. Jedna z reguł kodeksu moralnego, który urobił sobie, brzmiała: „Każdy zarobek jest rzeczą świętą".

— Proszę posłuchać, panie komendancie — zaproponował — niech pan umorzy tę sprawę, a tamten niech cofnie skargę. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

— Mój panie! Nie będzie mnie pan uczył, co mam robić! — Ja tu panu zaraz pokażę.

Lecz legitymacja dziennikarska, wydana przez prefekturę policji, którą Le Droz przedłożył, skierowała na inne tory gniew komendanta.

— A, bando łajdaków — zaczął, zwracając się do grupy szoferów.

— No, to już dobrze — rzekł Le Droz. — Wynośmy się stąd.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Roberta dotknęła ramienia dziennikarza:

— Muszę cię przedstawić pani Helmie Herwezy — rzekła.

— O, proszę — niech pani da spokój! — powstrzymywał Le Droz podziękowania, które tłoczyły się na usta cudzoziemki. — Błagam panią, nie mówny już o tej historji. — Bić się, to prawdziwa przyjemność dla mnie.

W tej chwili ukazali się, również wypuszczeni z posterunku szoferzy i ów olbrzymiego wzrostu drab podszedł do Le Droza:

— A z pana, to chłop! — powiedział z mocą. — Już my to widzieli, że z tą karteczką, co to ją pan pokazał staremu, mógł nas pan wszystkich wsypać, gdyby był chciał. — Więc bez rankoru — prosimy, niech pan i pańscy towarzysze — i te damy — zechcą napić się z nami na zgodę.

— O, proszę, chodźmy, chodźmy — poczęła błagać Helma Herwezy. — Toż będę miała dopiero o czem opowiadać w Budapeszcie!

Naprzeciw posterunku policji był szynk. Wszyscy, prócz strzelca Adrjana, skierowali się do niego.

— Pan daruje, panie Le Droz, — szepnął strzelec do dziennikarza — muszę wracać do roboty. — Chciałem panu tylko powiedzieć, żeby się pan już nie troszczył o rachunek. Jak stoi ta buda, nie zdarzyła się w niej nigdy taka awantura! Będą kontenci, że nie zobaczą już pana więcej u siebie.

— Więc i ty także! wykrzyknął rozpromieniony Vivant. — Ty też jesteś goły? — Ależ to coś niesłychanego!

— Widzisz, wszystko się jakoś dobrze ułożyło — odrzekł Le Droz.

* * *

Jednakże wieczór ów nie wyczerpał jeszcze wszystkich zasobów cudów, jakie trzymał w rezerwie.

Podczas, gdy niedawni wrogowie, pojednani teraz, popijali wesoło w szynku, przez otwarte drzwi z ulicy doleciały ich jakieś podniesione i zmieszane głosy.

— Powtarzam wam — krzyczał jeden z nich — że pożałujecie tego! — Poskarżę się w ambasadzie.

— Et, opowiadanie! — odparł drugi głos. — Gdyby się każdego z was chciało słuchać...

— A ja powtarzam, że nie śni mi się nawet, by przespać noc w tej budzie!

— Komendant zadecyduje — odparł głos, widocznie policjanta.

I wszystko znikło w czeluściach posterunku policji.

— No, ten jest gotów do jutra rana... — westchnął ze współczuciem zwalisty szofer.



*W ręku jego zabłysła lufa rewolweru...*

Lecz Roberta, Vivant i Le Droz spojrzeli uważnie po sobie. Uderzyło ich bowiem coś znajomego w szybkim sposobie mówienia, w chropawem nieco brzmieniu **głosu** człowieka, którego przemocą wepchnięto na posterunek policji. — Roberta pierwsza zapytała:

— Jakże to nazywał się ten lotnik hiszpański, który zemdlał w restauracji w Casa?

— Ten porucznik, który mnie wybawił wtedy! — zawołał gorąco Vivant. — Zapomniałem jego nazwiska...

— Jasarte. — Tak Jasarte! — zawołał Le Droz. — On mówił podobnie do tego nieboraka. — Trzeba zobaczyć...

I kiedy w towarzystwie Vivanta, dziennikarz znalazł się znowu w zadymionej atmosferze posterunku policji, usłyszał, jak Ramon de Jasarte krzyczał:

— Ależ na Madonnę! Niechże mnie pan zrozumie! Każden porządny człowiek byłby postąpił tak, a nie inaczej! Powtarzam: siedziałem na tarasie „U Gaby", na placu Św. Michała. Raptem przechodzi jakaś kobietka i uśmiecha się do mnie. Więc ją zapraszam do stolika. Ale ona była w towarzystwie. Zapraszam więc i jej towarzystwo do stolika. Dałem jej trochę pieniędzy. Kiedy przyszło do płacenia, nie wystarczyło tego, co miałem jeszcze przy sobie. Wtedy mała proponuje, że ona zapłaci. Czyż mogłem zgodzić się, żeby kobieta płaciła za mnie?! — Powiadam im, że z rachunkiem mogą przyjść jutro rano do hotelu. Ale właścicielka nie chciała się zgodzić. Wtedy, w pasji, stłukłem coś — i policjanci capnęli mnie. Ale to nie do wiary, żeby się tak obchodzić z oficerem królewskiej armji hiszpańskiej!

— Proszę o pańskie papiery — rzekł komendant posterunku.

— Z przyjemnością, służę.

I Jasarte zaczął szukać skwapliwie po wszystkich kieszeniach.

— Znowu ich zapomniałem! — Skoczę do hotelu i zaraz tu wrócę.

— Mój panie — ryknął komendant. — Za kogo mnie pan bierze?! — Zamknąć go. — Jutro się pokaże.

— Co?! Pan śmiałby **mnie** zamknąć!!

Wściekłość Ramona doszła już do paroksyzmu. Wywinął się z rąk trzymających go policjantów i rzucił do drzwi. Lecz na progu pochwycił go ktoś wpół. Hiszpan już zabierał się do kopania i gryzienia, kiedy usłyszał przyjacielski głos:

— Niech się pan uspokoi — ja to załatwię.

Jasarte podniósł głowę i zawołał:

— Le Droz! Powinien był poznać pana po chwycie!

Dziennikarz podszedł do komendanta — i pochylony ku niemu, zaczął mówić cicho:

— To nie są żarty. Może pan sobie ściągnąć grube nieprzyjemności, komendancie. — Odpowiadam za tego pana: jest rzeczywiście porucznikiem hiszpańskiej eskadry lotniczej, stacjonowanej w Maroku — a co więcej, bratankiem hiszpańskiego ministra spraw wewnętrznych.

— Mam dziś szczęście, z tymi zawalidrogami! — westchnął komendant i zwracając się do swych ludzi, dodał: — No już dobrze. — Dajcie mu na dziś spokój.

A na ulicy, Vivant o mało nie zadusił Ramona.

— Poruczniku, poruczniku! — Ani słowem — ani znakiem nie podziękowałem panu za to, żeś mnie od najgorszego wybawił wtedy, w Casa! — Ależ to puścimy się teraz! — Musimy powetować sobie to wszystko!

— Ale za co się puścimy? — zapytał dziennikarz.

— To prawda! — przyznał z żalem Vivant. — Wszyscy trzej jakbyśmy pokazali, co mamy w kieszeni — nie złożyłoby się jeszcze jednego ludwika do kupy! — A to się nam wiedzie tej nocy! — Ale poczekaj, Le Droz, mam myśl: porucznik pojedzie do hotelu po pieniądze, a ja oddam mu jutro. Choćbym wóz miał sprzedać!

— Ale, bo ja i w hotelu nie mam już ani grosza — wyznał ze śmiechem Jasarte. — Żeby dojechać do Barcelony — a zważcie, że to dopiero połowa mego urlopu upływa! — miałem zamiar zwrócić się jutro o pomoc do attaché wojskowego naszej ambasady w Paryżu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

**SYMFONJA PIĘKNYCH KSZTAŁTÓW.**

***Świetna tancerka amerykańska, Sherry Haas, występuje z wielkiem powodzeniem w paryskim „Bal Tabarin". — Fot. Dorvyne.*** →



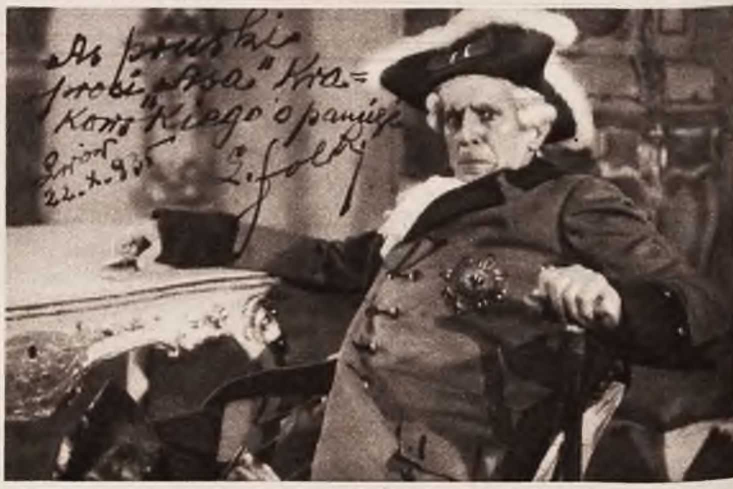
# Życie
## towarzyskie i artystyczne

### ŚLUB W TOWARZYSTWIE POZNAŃSKIEM.



Ostatnio został pobłogosławiony w Poznaniu związek małżeński między p. Teodorem Mukułowskim z Kołaczkowa a p. Marją Teresą Sławską, córką dra Stanisława Sławskiego, szambelana papieskiego. Państwo młodzi otrzymali liczne życzenia, jak również błogosławieństwo od ks. kard. Hlonda.

### UCZCZENIE WIELKIEGO ARTYSTY.



Z okazji jubileuszu 60-lecia pracy scenicznej wielkiego artysty Ludwika Solskiego, teatr lwowski uczcił jubilata nadaniem mu godności honorowego dyrektora sceny lwowskiej. Na zdjęciu Ludwik Solski w roli Fryderyka Wielkiego.

### „WIEDEŃSKA KREW" NA SCENIE BYDGOSKIEJ



Teatr Miejski w Bydgoszczy wystawił ostatnio znaną operetkę Jana Straussa „Wiedeńska krew", która dzięki dobrej grze artystów i pięknej wystawie cieszy się wielkiem powodzeniem. Na zdjęciu para baletowa teatru bydgoskiego Irena Jedyńska i Jan Fabian.

### MARTA EGGERTH — KWIACIARKĄ.



Znana filmowa artystka, Marta Eggerth, oczarowuje zwolenników kina swoim niezawodnym wdziękiem, grając kwiaciarkę w ostatnim swym filmie „Jasnowłosa Carmen".

Jak wiadomo, urocza artystka występowała z naszym wielkim rodakiem J. Kiepurą.

### STYLOWY KONCERT W POZNANIU.

Ostatnio poznańska publiczność miała sposobność usłyszenia znakomitej pianistki prof. Margerity Trombini - Kazuro z Warszawy, która poza p. Wandą Landowską, jest jedyną w Polsce artystką grającą na spinecie. Poza utworami solowemi i orkiestrowemi p. Trombini grała wespół z prof. Janem Rakowskim, świetnym wirtuozem na violi d'amore.



*Na prawo: Suknia wieczorowa z rdzawej gazy o oryginalnym staniku ze złotej lamy. — Poniżej: Suknia balowa ze złotej lamy w stylu orjentalnym.*





# CHANEL O PARYSKIEJ MODZIE ZIMOWEJ

Moda nie powinna nikogo dziwić ani przez nieoczekiwane nowości, ani przez skomplikowane pomysły, ale powinna oczarowywać i pociągać przez naturalny wdzięk i przez umiejętność przejawiania się w formach młodzieńczych i w tonach radosnych. Jej zadaniem jest odzwierciedlanie ducha epoki. Moda ma ubrać nowoczesną kobietę wedle najnowszych koncepcji, zachowując linję i ornamentykę, będącą wytworem najnowszych prądów, stwarzanych ciągle przez życie. Dopiero na gruncie całkowitego zapomnienia form z przeszłości może powstać nowoczesna moda.

Moją ideą dla nowoczesnej mody jest wysmukła sylwetka, wymodelowana przez ubiór, w sposób jak najmniej zaciemniający piękno budowy ciała. To też w wieczorowych zwłaszcza sukniach wykazują modele tendencję asymetryczności, bo tylko przy takim nieszablonowym kroju sukni można uzyskać tę idealną linję, która odtwarzać ma tylko piękno naturalnych kształtów.

Tylko asymetryczny krój sukni pozwala uniknąć szablonowego umundurowania kobiet, które jest przeciwieństwem wszelkiej oryginalności. Nie trzeba też zapominać, że wszelki „mundur" zaciera lub podkreśla linje sylwetki, czyniąc ją wręcz nienaturalną. Niczego podobnego nie znajdą panie w moich kolekcjach wieczorowych, które stworzono w myśl zasady naśladowania naturalnej sylwetki przez odpowiedni krój.



Częściowe zastosowanie znajduje asymetrja także w moich kolekcjach do użytku na codzień, na ulicę. Szczególnie płaszcze, zapinane z boku o kołnierzach przedłużanych w kierunku zapięcia bocznego, są tego najlepszym przykładem.

Suknie popołudniowe są mniej obcisłe, górna część sukni często ma krój bluzeczkowy. Sukienki do najczęstszego użytku, tak potrzebne każdej dziś kobiecie pracującej, znajdują dużo modeli w moich kolekcjach. Prosty krój tych modeli ożywiają i ozdabiają urocze dodatki. Przez swój kolor i miejsce, które im przypada w udziale, działają one w sposób bardzo decydujący na charakter sukienki, której są uzupełnianiem.

Pewne ożywienie sukienek zimowych jest zawsze wskazane. W tej porze roku obowiązuje bowiem stonowanie jasnych i żywszych kolorów. Aby więc zapobiedz pewnego rodzaju ich monotonji odmładzamy je jasnemi plamami dodatkowego ich uzupełnienia.

Zasadnicze kolory modne tej zimy, to zielony, brązowy, rdzawy, czerwony. Niektóre z nich występują tonach bardzo ciepłych, często omszonych jakby odcieniami szaremi lub przetykanych metaliczną nitką, co odrazu załamuje zasadniczą barwę materjału.

Oczywiście, że nie wyklucza się koloru czarnego. Tylko o ile dawniej czarna suknia aksamitna wyglądała poważnie przy sukni z czerwonej koronki lub z cieniowanego tiulu, o tyle dziś przy użyciu aksamitu metalicznego, którego tło z metalowych nitek przebija delikatnie przez czerń aksamitnego puszku, suknia taka wygląda młodzieńczo i odmładza swą właścicielkę.

Wśród aksamitów najnowszych najlepiej na suknie nadaje się „Velours ecaille", na płaszcze „Velours duvetine", a na suknie wieczorowe i balowe „Velours métal" i cudowny w połysku na matowem tle „Velours pluie d'or".

W jedwabiach również mamy dużo nowości. Matowy „Satalba", „Veloutalba", „Twill satin" o intensywnym połysku i „Satin givra".

Materjały wełniane tworzą coraz nowe kombinacje tweedów i jerseyów cieńszych i grubszych, gładkich i eponżowanych.

Jeszcze słówko o kapeluszu. To kropka nad i, jaką stawiamy w ubiorze kobiety. Kapelusz swą indywidulnością ma wykończyć ubiór, dodając wdzięku sukni codziennej, prostoty sukni sportowej i najwyższej elegancji sukni wieczorowej czy cocktailowej.

*Suknia balowa z „Satin givra" w kolorze niebieskawo-popielatym, wyszywana dołem gwiazdeczkami metalowemi*

# najpiękniejsza
# KOBIETA ŚWIATA



Miss Egipt, która na konkursie piękności w Brukseli odniosła walne zwycięstwo.

Konkursy piękności w Europie nieco się przeżyły. Jeszcze kilka lat temu interesowano się nimi wszędzie. Dziś już tylko kilka krajów pozostało im wierne, a przedewszystkiem Francja i Belgja.

W Ameryce konkursy piękności są bardzo popularne. Każdy stan wybiera tam raz do roku swą Miss, którą wysyła następnie na Florydę, gdzie się odbywa decydująca rozgrywka o tytuł najpiękniejszej kobiety Stanów Zjedn. W Ameryce Południowej (Meksyk i Brazylja) przeprowadzają wybór swych kolorowych piękności nadzwyczaj poważnie.

W żadnym kraju niema jednak stałej organizacji któraby się zajmowała wyborami królowej piękności. Przeważnie bierze inicjatywę w swe ręce pismo „lecące" na sensacje, względnie też jakiś samozwańczy komitet. Czasami wybiera się w jednym kraju nawet kilka królowych piękności, z których każda ma prawa do „tronu", gdyż brak tu jest przepisów, któreby tę nadprodukcję regulowały.

O ile słyszymy bardzo często o konkursach, mających na celu wybór Miss Europy, czy Ameryki, o tyle te, jakie się odbywają celem wyboru Miss Universum są niesłychanie rzadkie. W Europie miały one dopiero miejsce trzy razy i to za każdym razem w Belgji. Wyjaśnijmy przedewszystkiem, w jaki sposób podobny konkurs się organizuje. Większość ich ma miejsce na Riwierze. Związek hotelarzy francuskich przeznacza na ten cel pieniądze i po wybraniu najpiękniejszej kobiety Europy wysyła się ją wraz z całą świtą innych Miss od jednej miejscowości do drugiej. Rzecz oczywista, iż hotele, w których owe Miss mieszkają, są zawsze pełne turystów i wszyscy o niczem innem wówczas tam nie mówią. W ten sposób w ciągu kilku miesięcy hotele „oddają" sobie owe Miss i zarabiają na nich grube pieniądze.

Podobnie jak w sporcie, obowiązuje tu czyste amatorstwo. Królowa piękności, biorąca udział w konkursie, nie ma prawa żądać od komitetu ani jednego grosza. Opłaca on wszystkie jej koszta podróży, luksusowe hotele, utrzymanie itp. Wymaga wzamian jedynie zapewnienia, iż Miss są naprawdę — pannami z towarzystwa.

Wszystkie królowe są zobowiązane przytem, iż w czasie całej podróży będą im towarzyszyć mamy lub ciocie w charakterze przyzwoitek. Czasami, gdy biedna królowa pozbawiona jest rodziny, znajduje się jej mamę na miejscu, co nawet organizatorów tego konkursu taniej kosztuje. W 1932 roku na konkursie piękności w Spa przedstawicielce Polski, którą wybrało kilka osób w Paryżu, towarzyszyła jakaś polska konsulowa.

Podobnie jak w sporcie, gdzie czyste amatorstwo jest u mistrzów tylko mitem, tak i tu owe Miss aczkolwiek nie są opłacane za to, iż napędzają organizatorom konkursów piękności pieniądze do kieszeni, to jednak dają sobie doskonale radę. Niemal każda z nich posiada najrozmaitsze umowy z magazynami sukien, obuwia, czy kapeluszy i za słonem wynagrodzeniem odgrywa tam jednocześnie rolę manekina.



A oto uczestniczki konkursu: (od prawej ku lewej) miss Francja, Belgja, Holandja, Danja, Norwegja, Rosja, Czechosłowacja, Hiszpahja, Włochy, Grecja, Tunis, Nadrenja i Węgry.

Poniżej w kole: Łuk triumfalny zbudowany z okazji 50-lecia niepodległości Belgji, jest jednym z najpiękniejszych zabytków Brukseli.



W roku bieżącym Wystawa Światowa w Brukseli nie mogła rzecz oczywista zaniedbać tego doskonałego środka propagandy. Już od kilku miesięcy przygotowywano się tam do tego konkursu, który pięknością kandydatek miał pobić wszystkie dotychczasowe rekordy, jakie na tem polu zanotowano.

Byliśmy właśnie na dworcu w chwili, gdy przyjechała tu piękność czechosłowacka Trude Bohm. Wyszła z wagonu, zmieszała się z tłumem i nikt wogóle jej nie zauważył. Tego samego dnia wyszliśmy jeszcze na spotkanie trzech innych Miss. Te, będąc razem, zwróciły na siebie spojrzenia przechodniów, lecz sensacja nastąpiła dopiero wieczorem, gdy pod wodzą dziennikarza belgijskiego de Waleffe'a przybyła reszta Miss, robiąc zamieszanie na całym dworcu.



Na lewo: P. Ellen Orregaard godnie reprezentowała swoją ojczyznę Danję.



Na lewo: Miss Ameryka odznacza się miłym, dziewczęcym wdziękiem

W ciągu kilku dni rozpoczęły się tradycyjne przechadzki po magazynach, restauracjach, kawiarniach, teatrach itp. Jeden z tutejszych przemysłowców, który posiada na wystawie największą restaurację, zaprosił je do siebie i tego dnia płacono u niego za jedno krzesełko tyleż samo co codziennie bierze się tam za obiad z pięciu dań z winem.

W konkursie o tytuł najpiękniejszej kobiety świata wzięło udział 28 kandydatek. Szesnaście reprezentowało Europę, pozostałe przybyły tu z Ameryki zarówno Północnej jak i Południowej, Afryki i Azji. Brakło do kompletu tylko Australji. Dla nikogo jednak nie było tajemnicą, iż połowa tych Afrykanek, czy Amerykanek pierwszy raz dopiero wyjechała poza granicę Francji. Generalnym dostarczycielem Miss we wszystkich kolorach i językach jest zawsze Paryż. Nawet kilka lat temu, gdy było zapotrzebowanie w Spa na Miss Polonję, potrafił ją „nadesłać".



*Nietylko uroda miss Węgry, ale również jej oryginalny strój wzbudzał zainteresowanie publiczności.*



*Groźną rywalką pozostałych „misseczek" była p. Simone Barille, reprezentująca w turnieju piękności republikę francuską.*

Jak się odbywa podobny konkurs? Jury składa się z tylu sędziów, ile jest królowych piękności. Sędziowie, reprezentujący barwy tego czy innego kraju rekrutowali się na miejscu.

Każdy sędzia ma do oddania dziewięć głosów. Trzy daje się za rysy twarzy, trzy za budowę ciała i trzy za... inteligencję. Badania jury konkursowego trwają czasami po kilka godzin, przyczem ostatnio w Brukseli nie wolno było królowym pokazywać się w kostjumach kąpielowych i sędziowie dla obejrzenia budowy nóg musieli prosić o podnoszenie sukienek powyżej kolan.

Ostrożności, jakie przedsięwzięto na Wystawie Światowej, ażeby nie dopuścić niepowołanych do podglądania sędziów w czasie wyborów Miss Universum były niezwykle surowe. Salę, w której odbywały się badania jury otoczono żandarmami, gdyż uważani są w Belgji za najniebezpieczniejszych stróży bezpieczeństwa. Dlatego też nikt nie chciał narażać się na śmierć przez zastrzelenie i nie podglądał „pracy" komisji poprzez zasłonięte story. Pięć Królowych Piękności przeszło przez wszystkie eliminacje, a mianowicie: Miss Ameryka, Miss Hiszpanja, Miss Egipt, Miss Czechosłowacja, i Miss Liban.

Potrzeba było jeszcze okrągłej godziny, ażeby zdecydować się komu oddać palmę pierwszeństwa. W rezultacie 23-letnia Egipcjanka, która ma być wyjątkowo autentyczną, wybrana została Miss Universum na rok 1935/36.

Sędziowie belgijscy mają inklinację do egzotyki. Gdy po wojnie odbył się tam podobny konkurs dwukrotnie, zarówno za pierwszym jak i za drugim razem najpiękniejszą kobietę świata wybrano z poza Europy. W 1932 roku w Spa Miss Universum została młoda Turczynka, obecnie przypadł w udziale Egiptowi zaszczyt dziedziczenia berła urody!

Konkursy piękności posiadają oczywiście te same słabe strony, jak wszystkie inne konkursy, gdyż nie może być tutaj mowy o wybieraniu najpiękniejszej kobiety z pośród wszystkich godnych stanąć do zawodów o palmę pierwszeństwa. Te, które zjawiają się przed jury nieraz musiałyby ustąpić nieznanym nikomu pięknościom, ukrytym przed natrętnem okiem reportera, czy fotografa na „zapadłej" prowincji. Takich „kopciuszków", dla których odkrycia potrzeba królewicza-globetrottera, jest więcej niżby się zdawało. Jak z tego widać od czasów Parysa i jego słynnego sądu piękności do dziś dnia, „technika" konkursowa pozostawia dużo do życzenia.

**Hajot.**

# PRZEPISY

***odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3—4 osoby.***

**BUDYŃ Z SZYNKI.** 10 dkg szynki drobno usiekanej miesza się z 4. jajami rozkłuconemi z 4. łyżkami rosołu lub mleka ubija wszystko razem przez 5 minut, następnie wlewać do rondelka natartego masłem i gotuje na parze przez pół godziny. Podaje się obłożone krokietkami z ziemniaków lub bułki.

**SMAŻONY GROSZEK DO ZUP.** Z 1 żółtka i 1 całego jaja, 6 dkg mąki, szczyptę soli oraz łyżki mleka ubija się dość płynne ciasto. Na głębszej patelni rozpala się mięszany tłuszcz, na który przepuszcza się kroplami ciasto nalane na łyżkę durszlakową. Ciasto, które przyjmuje wygląd groszku (stąd nazwa) smaży się do koloru złotego. Wyjęte z tłuszczu i dobrze z niego osączone, podaje się do zup lub rosołów.

**PASZTECIKI Z CIASTA SEROWEGO.** 10 dkg sera twarogu, dość suchego, utrzeć na tarle, dodać 10 dkg masła, 10 dkg mąki, soli szczyptę i zagnieść na ciasto; przewałkować parę razy, za każdym razem składać w troje: po ostatnim rozwałkowaniu na grubość 1 cm wykrawywać małe kwadraty, zawijać w każdy kwadrat kawałek kiełbaski obciągniętej z łupki, zalepiać białkiem, aby się ciasto trzymało, i piec na posypanej mąką blaszce do zrumienienia. Podawać gorące jako przystawkę lub do herbaty.

**SUFLET Z KALAFJORA.** Ugotowany w słonej wodzie kalafjor, osącza się z wody i układa w całości na ogniotrwałej salaterce. Z 3. dkg masła i 5. dkg mąki robi się jasną zasmażkę, zalewa 1/8 l mleka lub śmietanki, zagotowuje na gładką masę, zaprawia solą, pieprzem i siekaną zieloną pietruszką. Osobno uciera się 5 dkg masła z dwoma żółtkami, mięsza z poprzednio przygotowaną i wystudzoną masą· wkońcu wmięszać lekko pianę z 5 białek, pokryć kalafjor i wstawić do piecyka na 10 minut.

**CZERNINA Z ZAJĄCA.** Cały przodek zajęczy wraz z sercem, płuckami i wątróbką (którą dodaje się przy końcu), dusi się na słonince z cebulą i jarzynami, podlewając gorącą wodą. Uduszone na miękko, mięso wyjmuje się, a sos zaprawia się sokiem cytrynowym lub octem, utartą na kostce cukru skórką cytrynową, łyżką marmolady porzeczkowej lub brusznicowej i solą, poczem podsypuje się łyżkę (3 dkg) tartego chleba lub piernika. Wyjęte mięso obiera się z kostek, sos przeciera przez durszlak i podaje razem w rancie z makaronu.

**GĘŚ LUB KACZKA W AUSZPIKU.** Mięsne części, tj. pierś i nogi gęsi lub kaczki gotuje się wraz z dwoma nóżkami cielęcemi i jarzynami w wodzie z solą. Ugotowane mięso wyjmuje się z rosołu, obiera z kości, a rosół z kośćmi gotuje się dalej tak, aby nie zostało więcej niż pół litra. Do rosołu przeznaczonego na auszpik wbija się białko jaja, zagotowuje wraz z łupką celem uzyskania przeźroczystego auszpiku. Wreszcie przecedza się rosół przez czystą serwetę i mięsza z paru płytkami żelatyny rozpuszczonej w gorącym rosole, zakwasza cytryną i wylewa na mięso ułożone gustownie w formie. Mięso przekłada się płatkami uduszonej wątróbki, twardem jajem, jarzynkami, piklami i plasterkami cytryny. Osobno podaje się sałatkę majonezową z białej surowej kapusty i fasolki.

**GRUSZKI Z KREMEM WANILJOWYM.** Połówki obranych gruszek ugotować w cukrzanej wodzie, następnie wyjąć, obsuszyć i ułożyć na szklanej misce. Osobno roztrzepać 5 żółtek, 1/4 l mleka, cukru do smaku, dodać kawałek wanilji i ubijać na parze aż zgęstnieje, wtedy dodaje się 2 płytki żelatyny rozpuszczonej w łyżce gorącej wody ,oraz tęgą pianę ubitą z 5. białek. Masą tą pokrywa się gruszki i zastudza, poczem ubiera się krem konfiturami.

**Sc. Ko.**







## NOWOŚCI ZASTAWY STOŁOWEJ

Mimo, iż żyjemy w wieku elektryczności, wraca okresami moda posługiwania się zwyczajnemi świecami stearynowemi, bo dzięki temu można wykorzystać efekty dekoracyjne świeczników stołowych, których oryginalne kształty rysują się plastycznie na tle białego obrusa czy danej politury stołu.

Świeczniki te bywają wykonywane z różnych mniej lub więcej szlachetnych metali, a nawet z drzewa. Nasze zdjęcie przedstawia ładnie ugrupowaną martwą naturę z zastawy srebrnej, projekcowanej prze zjedną ze specjalistek berlińskich w tym fachu.

# 7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

*Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.*

| Święta rzym.-kat. i żyd. | Tydzień 45 — LISTOPAD — Dni 30 |
|---|---|
| Niedziela **3** Huberta, Sylwji 7 Cheszwan | Bulion w filiżankach z żółtkiem. Budyń z szynki. Ciepła szynka lub polędwica wieprzowa z duszoną kapustą. Rurki francuskie z bitą śmietaną. Kolacja: Gęś lub kaczka w auszpiku z sałatą majonezową. |
| Poniedziałek **4** Karola 8 Cheszwan | Zupa grochowa z grzankami. Budyń z kalafiora. Pieczeń barania z sosem pomidorowym i ryżem. Kompot mieszany z keksami. Kolacja: Naleśniki z mięsem z smażonemi ziemniaczkami. |
| Wtorek **5** Elżbiety Emer. 9 Cheszwan | Rosół z groszkiem smażonym. Sztuka mięsa doduszona w sosie cebulowym. Zając duszony w naturalnym sosie z kluskami bułczanemi. Jabłka zapiekane z pianką. Kolacja: Kaszka krakowska na grzybach. |
| Środa **6** Leonarda 10 Cheszwan | Zupa z włoskiej kapusty. Rizotto z szynką. Czernina z zająca z makaronem. Buchtle z konfiturą. Kolacja: Parówki z chrzanem. |
| Czwartek **7** Herkulana 11 Cheszwan | Barszcz czysty z uszkami. Nóżki cielęce smażone w cieście. Gęś pieczona z czerwoną kapustą. Omlety z serem. Kolacja: Wędzone ryby i pieczone ziemniaki. |
| Piątek **8** Sewera, Bogdana 12 Cheszwan | Zupa kalafiorowa. Płatki z kapustą. Karp w galarecie. Ryż z jabłkami. Kolacja: Ruskie pierogi z śmietaną. |
| Sobota **9** [Te]odora, Ursyna [13] Cheszwan | Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Móżdżek w muszelkach. Zrazy bite w grzybowym sosie z kaszą tatarczaną. Placek drożdżowy z jabłkami. Kolacja: Galareta z nóżek wieprzowych. |


CHARLIE
MIŚ i ZDZIŚ
przygody dwóch młodzieńców
5. ZEMSTA MISIA
① MIŚ: CÓŻ NAM Z TEGO, ŻE PATRZYMY, KIEDY ZBLIŻYĆ SIĘ DO NIEJ NIE MOŻEMY!
ZDZIŚ: Ty NIE MOŻESZ, BO JESTEŚ FUSZER, ALE ja – JUTRO JĄ POZNAM!..
② MIŚ: ZATRZYMAJ SIĘ ZDZISIU, TAK SIĘ NUDZĘ!
ZDZIŚ: Ja SIĘ NIE NUDZĘ, MAM RANDKĘ Z ROZKOSZNĄ DZIEWCZYNKĄ!..
③ MIŚ: CZEKAJ NICPONIU, ZEMSZCZĘ SIĘ!
④
JEŚLI PAN JUTRO O PIĄTEJ NIE WRĘCZY CZŁOWIEKOWI, SIEDZĄCEMU NA ŁAWCE POD ZEGAREM Z BUKIETEM W RĘKU KWOTY 1000 ZŁ ZGINIE PAN MARNIE W CIĄGU 24 GODZIN! "CZARNA RĘKA"
⑤ –OTO, CO DOSTAŁEM, TRZEBA TEGO ŁAJDAKA SCHWYTAĆ!..
⑥ POLICJANCI: –TO TEN; BRAĆ GO NA KOMISARJAT!..
⑦ –TO SIĘ NAZYWA DŻENTELMEN! KPI SOBIE ZE MNIE! ACH, ZEMSZCZĘ SIĘ! ZDRADZĘ GO Z PIERWSZYM LEPSZYM!..
CHARLIE

# To warto poznać...

## NOWE KSIĄŻKI.

Naczelną ideą każdego pisarza, rozumiejącego swe posłannictwo, powinno być: nie kłamać! Podpatrzeć i podsłuchać trzeba rzeczywistość i tę prawdę rzeczywistą z niezakłamaną prawdą artystyczną podać czytelnikom.

Dokonało tego ostatnio dwoje znakomitych pisarzy a dwie ich książki przedewszystkiem powinniśmy przeczytać. Jedna to **„Granica" Zofji Nałkowskiej** (nakł. Gebethnera i Wolffa). W powieści tej autorka stoi na wyżynach swego artyzmu i posłannictwa pisarskiego. T. zw. akcja powieści jest wycinkiem z prostego, szarego, codziennego życia. Zenon Ziembiewicz ma na wsi kochankę Justynę Bogutównę. W mieście zaręcza się z Elżbietą Biecką. Jednakże Justyna wyjeżdża do miasta i tu wyznaje Zenonowi, że spodziewa się potomstwa. Zenon uważa za stosowne wyznać wszystko narzeczonej. Ta znów decyduje, że większe prawa do Zenona ma Justyna i dlatego odchodzi. Jednakże życie układa się inaczej, Zenon żeni się z Elżbietą, Justyna pozbywa się przedwcześnie dziecka ale w szale nienawiści, w potędze instynktu oblewa kwasem twarz Zenona. Zenon w kilka dni później umiera.

Zagadnienie zbrodni, zagadnienie winy i kary rozpatruje Nałkowska z niesłychanie subtelną wnikliwością, rozważa sumiennie proces psychologicznego narastania przeżyć trojga bohaterów powieści. U Nałkowskiej nikt nie ponosi winy, nikt nie może być karany, ale równocześnie stwierdza autorka, że „coś przecież musi istnieć... jakaś granica, za którą nie wolno przejść, za którą przestaje się być sobą". — Bohaterzy Nałkowskiej przekroczyli tę właśnie granicę.

Powieść jest mistrzowsko skomponowana, zbudowana z wielorakiem bogactwem środków ekspresji pisarskiej, ideologicznie ciekawa, pobudzająca do myślenia — jednem słowem dzieło znakomite.

Ta sama idea pisarska „nie kłamać!" była przedewszystkiem szalejącym bodźcem i naczelnem wskazaniem ideowem dla Emila **Zegadłowicza**, gdy tworzył **„Zmory"**. Jest to druga część „Żywotu Mikołaja Srebrempisanego" (nakł. F. Hoesicka). „Zmory" nazwał autor „kroniką zamierzchłej przeszłości". Dla małego Mikołaja lata dojrzewania są straszliwą zmorą. Nikt młodemu nic nie wyjaśni, nikt mu nie poda pomocnej ręki. Gasnący ojciec powie mu tylko: „Zdobyć trzeba wszystko samemu". I przebija się Mikołaj przez życie okrutnych, straszliwych zmor, i wychodzi z nich bohater z duszą czystą, indywidualnością silnie rozwiniętą, niezakłamaną, tęskniąc do dobra, piękna i prawdy. Autor po raz pierwszy wprowadza do literatury niektóre obserwacje z okresu dojrzewania chłopców, demaskując rzeczy dotychczas niemówione z surową, tragiczną nieraz brutalnością, a zawsze z niezwykłym artyzmem. I dlatego niektórzy nazwą tę powieść „plugastwem i błotem". Inni, jak jeden z najwybitniejszych krytyków, powiedzą o niej, że jest to „rozmowa każdego z nas z własnym cieniem". I czyj sąd zwycięży? W każdym razie książkę tę powinni przeczytać przedewszystkiem wszyscy rodzice, wychowawcy, lekarze psycholodzy...

(swb)




**Teatr Miejski w Łodzi** wystawił ostatnio z dużym nakładem pracy i starannością moralitet Hugona Hofmannstahla **„Każdy człowiek"** („Ktobądź) w poetyckiej transkrypcji Jarosława Iwaszkiewicza. Inscenizację misterjum opracowali reżyser Szletyński i dekorator Mackiewicz. Rolę tytułową gra Jan Kochanowicz, a cały zespół daje potężne widowisko.

**Teatr Miejski w Bydgoszczy**, po pięknej baśni Lucjana Rydla **„Zaczarowane koło"**, granej dobrze przez zespół dramatyczny, wprowadził na repertuar opowieść sceniczną Stanisława Dąbrowskiego **„Mały lord"** (według Fr. H. Burnetta), opracowaną specjalnie dla dzieci, jako widowisko pogodne o dużych walorach pedagogicznych. Małego lorda gra Halina Motyczyńska, a w innych rolach cieszą się uznaniem dzieci i młodzieży, tych najsubtelniejszych krytyków, Czechowska, Kalczanka, Górowski i Serwiński. Równocześnie gra teatr bydgoski miłą operetkę **„Hrabia Luksemburg"**.

**Teatr Ziemi Pomorskiej** przygotował pełną humoru i dowcipu komedję muzyczną Benatzky'ego **„Rozkoszna dziewczyna"** z Haliną Doree w roli tytułowej. Komedja ta cieszy się dużem powodzeniem także w miastach prowincjonalnych, które odwiedza teatr.

**W Warszawie** z nowemi premjerami wystąpiły jedynie dwa teatry rewjowe: **Cyrulik Warszawski i Hollywood**. W Cyruliku znowu mamy doskonały program **„Z przedziałkiem"**, napisany niemal w całości przez Hemara, który ostatnio okazuje dużą aktywność poetycką i satyryczną. Dobrymi wykonawcami dobrego repertuaru Hemara są przedewszystkiem Zimińska, Rentgen i Gierasiński. Wykonawczynią pięknej „komsomołki" Tuwima jest Żelichowska, a Jarossy jest, jak zawsze, bez konkurencji. Stefcia Górska, Z. Terne, Niemirzanka i Olsza podobają się także publiczności. W teatrze Hollywood zabawia publiczność rewja **„Wesoła jesień"**, której bohaterem jest przedewszystkiem Konrad Tom, a dzielnie mu sekundują Sokołowska, Nora Ney, Alicja Halama, Mankiewiczówna, Skwierczyńska, Bodo, Żabczyński i Sielański.

swb.

## NA NAJLEPSZEJ FALI

**Niedziela 3 listopada.**

10.00 Transmisja nabożeństwa.
12.15: Poranek muzyczny z Łodzi.
16.00: „Kukiełki śląskie" — obrazek dla dzieci.
18.00: „Utwory Sibeliusa" wykona Kosti Vehanen.
18.30: „Noce Teresy" — słuchowisko.
20.00: Koncert.
21.00: „Wesoła Fala Lwowska".
22.00: „W dzień św. Huberta" — audycja myśliwska.
22.45: Muzyka lekka i taneczna.

**Poniedziałek, 4 listopada.**

12.15: Koncert Małej Orkiestry
16.15: Koncert muzyki lekkiej ze Lwowa.
16.45: Skecz p. t. „Chiński serwis".
17.00: „Obrazki z życia dzieci ulicy" — reportaż.
17.50: Pogadanka B. Winawera.
18.00: Recital Grażyny Bacewiczówny.
18.45: Muzyka taneczna.
21.00: Chór Dana.
21.30: „Współczesny Kraków literacki".
22.00: Koncert symfoniczny.
23.03: Muzyka taneczna.

**Wtorek, 5 listopada.**

15.30: Melodje operetkowe z płyt.
16.45: „Cała Polska śpiewa".
17.15: Zespół Adamskiej-Grossmanowej.
18.00: Zoltan Kodaly: „Hary Janos" — z płyt.
18.30: Reportaż literacki — „Reymontowska wieś — Lipce".
18.45: Muzyka jazzowa.
20.10: Koncert symfoniczny ze Lwowa.
22.30: „Mity i baśnie Śląska Opolskiego" — feljeton.
23.05: Muzyka taneczna.

**Środa 6 listopada.**

12.15: „Lekarz szkolny i opieka domowa" — pogadanka.
12.30: Mała orkiestra P. R.
16.00: Zagadki muzyczne dla dzieci starszych.
16.20: Pieśni Schuberta.
16.45: Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja.
17.20: Zespół Arkadjusza Flato.
18.00: Koncert kameralny.
18.45: Mało znane utwory symfoniczne — z płyt.
19.00: „Posagowe sprawy" — feljeton.
20.00 Wesoła audycja muzyczna ze Lwowa.
21.00: „Twórczość Fryderyka Chopina" — koncert X-ty.
21.40: „Kwadrans poezyj".
22.05: Muzyka lekka.
23.05: Muzyka taneczna.

**Czwartek, 7 listopada.**

13.00: Utwory Ryszarda Straussa z płyt.
15.30: Piosenki.
16.00: „Co wam się podoba?" — pogadanka dla dzieci.
16.15: „Z tysiąca i jednej nocy" — koncert.
18.00: Recital skrzypcowy Hugo Kolberga.
18.45: Koncert.
20.00: Mała orkiestra P. R. i Mieczysław Fogg.
21.00: „Zegarek" — premjera słuchowiska.
21.35: „Nasze pieśni".
22.00: Muzyka taneczna.

**Piątek, 8 listopada.**

12.40: Orkiestra Stanisława Ferszko.
15.30: Muzyka lekka.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Orkiestra Seredyńskiego ze Lwowa.
17.20: Koncert solistów.
18.00: Koncert starej muzyki.
20.00: Aktualny monolog.
20.10: „La serva padrona" — opera komiczna.
21.50: Utwory Karola Szymanowskiego.
22.20: Muzyka taneczna.

**Sobota 9 listopada.**

12.15: Orkiestra Alberta Katza.
13.00: Pieśni i arje w wyk. R. Stracciari.
14.30: Muzyka lekka.
15.30: Mała orkiestra P. R.
16.30: Skrzynka techniczna.
17.00: Kraj za ścianą" — reportaż.
17.15: Nowości z płyt.
18.00: Wesoła audycja dla dzieci.
18.45: Jan Kiepura — z płyt.
19.00: „Jak się dwa chłopi bez fajke stowarzysyli".
20.00: „Bunt bajek" — wesoła audycja muzyczna.
22.00: Koncert popularny.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.